



T. Axentowicz. „Studyum“.

„Liebchen”.



Cesarz Wilhelm musiałby mieć nerwy ze stali, żeby być obojętnym na odgłosy skandalu, sączącego się z sali sądowej na Moabie wszystkim rymsztokami Berlina, zatruwającego powietrze, szerzącego woń cuchnącą aż poza granice Niemiec. Powonienie monarchy za nadto jest wydelikaczone, by nie odczuć tego podrażnienia. Ten, którego najpopularniejszy z dzisiejszych historyków niemieckich nazywa typowym przedstawicielem *der idealistischen Reizsamkeit*, nie zachował zimnej krwi, czytając sprawozdania z rozpraw przed sądem ławniczym. Cesarz się gniewa. Berlińczycy przeczuwają, że niebawem wybuchnie. Kto tyle razy opowiadał narodowi o odpowiedzialności, do której się „jedynie przed Stwórcą poczuwa”, kto lubi chadzać przed rzeszą, jako prorok i arcykapłan, nie może milczeć w takiej chwili. Wilhelm II odezwie się. Na myśl o tem dworacy truchleją, a socjaliści zacierają ręce, obliczając w duchu, ilu ten gniew monarszy pogrzebie dostojników, ilu możnych strąci ze stopni tronu, ile spowoduje zgryzot, złorzeczeń, przedpokojowych spisków i utajonych dąsów.

Wilhelm chce karać i ma ważne powody. Tu idzie o coś więcej, niż o głowy kilku czy kilkunastu eksceleńcyj. Tu idzie o powagę rodziny Hohenzollernów. Cesarz nie jest tak zaślepiony, by nie wiedział, o jaką stawkę partya się rozgrywa. Gdy cień zagraża blaskowi korony, królowie pruscy nie pytają, czy można poświęcić kilku śmiertelnych. Niech ginie Moltke, niech ginie Eulenburg, niech ginie Hohenau, byle nikt nie powiedział, że w chwili krytycznej skryć się umieli pod gronostajowy płaszcz króla. Im bliżsi byli osoby panującego, tem głębiej muszą w otchłań być strąceni. Wymaga tego prosty rozsądek polityczny.

Wie o tem król pruski. Czuje, że niemiła atmosfera procesu dosięga sali tronowej. Wszak Moltke był jednym z ośmiu generałów, przydanych monarsze do boku. Wszak Eulenburg był do niedawna przedstawicielem Niemiec na dworze wiedeńskim. Gdy

wchodził do Burgu po schodach, strzeżonych przez gwardyę szlachecką, rozstępowano się przed nim, nie tylko jako przed wyobraźcą wielkiej potęgi lądowej i morskiej; rozstępowano się przed nim, jako przed przyjacielem ościennego monarchy, jako przed ulubionym śpiewakiem, któremu Wilhelm do słów dobiera melodye. Eulenburg bywał towarzyszem swego Pana w nocnych dumaniach na fali Fiordów. Eulenburg Wilhelmowi II-mu zawdzięcza tytuł książęcy. A obok Eulenburga i Moltkego występuje szereg postaci innych. Samo podejrzenie, że dawna łaska monarchy może być ich ocaleniem, byłoby dla dworu berlińskiego fatalne. Niech więc na miłosierdzie nie liczą. Surowość jest tu nieodzowną, jest nieuniknioną koniecznością polityczną, jest potrzebą dynastji.

W losie tych potępieńców dopatry się może kiedyś historyk czasów dzisiejszych pewnej przymieszki okrucieństwa. Tytu innych puszcza się na bezdroża: czemuż ci mają płacić za wszystkich? Pytanie naiwne! Rozum stanu nie roztkliwia się takimi względami. Tu trzeba przede wszystkim wszelką wątpliwość stłumić.

Czy się to uda? Duch nieposłuszeństwa i buntu wyprawia harce po Niemczech. Ludzie, dla których niesforna prasa, gadająca głośno o wszystkim, jest strawą codzienną, zastanawiają się nad rozwiązaniem zagadki, jakim cudem cesarz, interesujący się wszystkim tak żywo, tak gorątkowo, mógł nie wiedzieć o tem, o czem przebąkiwano dokoła. Czyż nikt mu o tem nie wspominał? Tem większy powód do gniewu.

Man wusste, In wessen Hand ich war. Warum versäumte man

Mich zu erinnern?

Gdy się Filip II tak skarży, odpowiedź nasuwa się sama. Wiadomo, że nie miał przyjaciela. Wilhelm II ich miewał. Cóż, kiedy wybór, jak się dziś okazuje, nie był szczęśliwy.

Na szczęście znalazł jednego. Dobrotliwa opatrność zesłała mu Hardena. On tylko jeden czuwał nad dobrem monarchy. On tylko miał odwagę podnieść głos przed majestatem królewskim. Szczę-

śliwy kraj, szczęśliwa dynastja, gdy nad niemi rozciąga opiekę taki obrońca tronu, taki opiekun ojczyzny.

Harden może się poszczycić czemś, co dzisiaj jest już w Niemczech rzadkością. Za obrazę cesarza Wilhelma siedział dwa razy po pół roku w fortcey. Tem się nie każdy w Niemczech może pochwalić. Dwanaście miesięcy samotności, dwanaście miesięcy murów więziennych, dwanaście miesięcy rozmyślań i tęsknego oczekiwania: to zaiste dla Niemca współczesnego, dla człowieka o nerwach, starganych pracą dziennikarską, próba ciężka i ważny okres w życiu.

Ktoś, posiadający duszę o zakroju mniej rzymskim, byłby z tej próby nie wyszedł zwycięsko. Zwykły śmiertelnik byłby się może zachwiał w przywiązaniu do króla. Człowiek ułomny i dąsliwy pospolitym skłonnościom byłby, opuszczając bramę więzienia, przypomniał sobie słowa klasyczne, powtórzone niedawno przez Bismarcka i byłby zawołał z kanclerzem: *le Roi me reverra*. Byłby myślał o zemście. Powiedziałby sobie: „Pokażę światu, jaka to cnota gnieździ się w tych kręgach nadziemskich, których dziennikarzowi dotykać nie wolno. Gdy wam ognia nakrzeszę, buchnie płomień od Alp do morza, który was na długo oślepi.”

Harden, charakter wzniosły i czysty, nie ulega takim pokusom. Kto króla prawdziwie kocha, będzie mu służył bez względu, czy ten obsypuje łaskami, czy też odsyła do więzy. Harden — to wierny poddany. Jeżeli pisał artykuły o zdrożnościach i wybrykach między dworzanami cesarza, to tylko dlatego, żeby zmyć czempredziej tę małą plamę z błota, u podnóża tronu.

Potwarcą jest, kto twierdzi, że chciał się pastwić nad najbliższem otoczeniem cesarza, że chciał z procentem oddać to, co za swą krzywdę uważał. Potwarcą jest, kto twierdzi, że z radością myślał o chwili, w której pod razami jego pióra padać będą szambelani i adjutanci. Nie! Ten myśliciel i stróż moralności nie wie, co to są względy osobiste. Poświęcił się dla społeczeństwa i służył monarsze, jak umiał. „Nie ten bowiem — woła on przed sądem — oddaje królowi usługi, kto przed nim klęka, lecz ten, kto mu prawdę powiada.”

Liczył na wdzięczność królewską. Przekonany był, że Wilhelm oceni wierne służby i za-

pomni o dawnych urazach. Wierzył, że nieczem łatwiej mu nie sprawi radości, jak zdarciem zasłony z tych skandalów.

Sam co chwila zapewniał, że idzie mu nie o efekt gazeciarski, lecz o przyszłość Niemiec. Truchlał na myśl, że ludzie, skłonni do wstrętnej rozpusty, gotowi źle wpłynąć na kierunek polityki niemieckiej. Gdyby nie dbałość o sławę panującego i nie obawa o polityczne skutki tych zboczeń, byłby milczał, jak grób.

Wprawdzie proces nie wykażał żadnego związku między polityką Niemiec a orgiami w zamku ks. Eulenburga i w willi hr. Lynara; wprawdzie nie słyhać jakoś dotąd o objawach wdzięczności ze strony cesarza; wprawdzie rozprawy sądowe wprawiły w wysmienity humor nieprzyjaciół narodu niemieckiego, a zaszepiły tych, którzy stanowią przyboczną straż monarchy, ale cóż z tego? P. Harden zapewnia, że miał jeden wyłącznie cel na oku. Chciał dodać blasku aureoli monarszej; chciał ochronić politykę państwa od zejścia na manowce. Skoro tak mówi, jak mu nie wierzyć?

Dajmy pokój badaniu pobudek! W tym, czy owym celu, zrobił wszystko, co mógł, a w Niemczech zakopiało, jak w garnku. Dzienniki berlińskie zapowiedziały rewizję procesu. Niech się sądy pruskie zabawią ponownie osobą Hardena. Niech bogowie Podziemia mają go w swej piecy. Świat cały nie może zajmować się nieustannie losami zręcznego, a niepohamowanego w swej zaciekłości dziennikarza. Proces, w którym odrzucono skargę hr. Moltkego i uniewinniono Hardena, ma jeszcze inne znaczenie. Oznacza on bardzo wyraziście ważną i widoczną chwilę w wewnętrznej ewolucji narodu niemieckiego. Na wiele rzeczy i na wielu ludzi patrzą dziś Niemcy inaczej, niż przed procesem. Niejedna tajona myśl odezwie się teraz głośno. W armii, w rządzie, w szerokich kołach ludności formują się sądy i zdania, które dotąd, w postaci przeczuć i domysłów, kryły się w najgłębszych tajnikach duszy.

Kto śledzi dzieje narodu niemieckiego od lat stu, temu nie jest tajemem, jak ogromne podboje poczynił żywioł pruski, żywioł karności i siły, żywioł hierarchii i ładu, w całym plemieniu niemieckim. Ludziłby się, gdyby źródło tego podboju widział tylko w fizycznej przemocy, narzu-

cającej wszystkim szczepom niemieckim przewagę jednego państwa. Prusakom udało się sięgnąć głębiej, udało im się ołsnąć i zahypnotyzować duszę niemiecką. Pod wrażeniem wielkich tryumfów na pobojuwiskach francuskich wyległa się dziwna cześć dla mundurów, wytworzyła się osobna poezja epoletów; duch cezaryzmu dotarł do brzegów Nekar i rozpostarł się tam wśród winnic i gajów. W ślepej zaufaniu do polityki pruskiej zaczęto w najdalszych zakątkach Niemiec przyjmować bez szemrania wszystkie jej postulaty i hasła, poczynawszy od tępienia języka polskiego nad Wartą, a skończywszy na chłostaniu murzynek w koloniach.

Niedobrze jest przeciągać strunę. Przeciw przesadzonemu uwielbieniu widoczna jest od niejakiemu czasu coraz wyraźniejsza reakcja. Nie jest to dawny partykularyzm niemiecki. Jest to raczej ów dobrze nam znany indywidualizm nowożytny, nie lubiący ulegać prawdom, narzucanym z góry, poddający wszystko analizie i naganie, nie uznający przywilejów nieczyich, wołający o równe prawa dla wszystkich.

Ten duch krytycyzmu, duch śmiałego, indywidualnego sądu, zaprawionego nielitościwą satyrą, niebezpiecznym stać się może dla pierwiastków pruskich w wielkim organizmie państwa niemieckiego; może stać się niebezpiecznym dla pierwiastków, których siła płynie z poszanowania tradycji, z szacunku dla rangi i tytułu, ze świadomego i wyrozumowanego oddania się jednostki na usługi państwa.

Owo rozmówienie w krytyce i satyrze znalazło w ostatnim procesie niesłychanie silną podniecie. Profesorowie prawa mogą spierać się o to, czy słynny artykuł 175-ty ma być usunięty z niemieckiego Kodeksu Karnego. Nie może być atoli przedmiotem sporu fakt jasny, jak słońce, iż dzisiejsze społeczeństwo patrzy z niewymowną, po długim szeregu pokoleń odziedziczoną pogardą na postęпки, w które ten artykuł uderza. Nie wiemy, co zrobi z Hardenem sąd, który rewizji procesu dokona. Niech go sądzą i skażą. Niech go zamkną i powieszą. Nie wypłenią tem odrazy, jakiej naród nabiera do sfer, odartych w ostatnim procesie z czarodziejskiej szaty, której przedtem nie przenikał wzrok tłumu.

Oficer niemiecki, wylajany niegdyś przed frontem przez generała, o którym teraz wie, że był w kole, nie lubiącym świadków, inaczej zapatrywać się zaczęło na karność wojskową. Rodzice, których jedyne dziecko, służy obecnie w rozgłosnym pułku kirasyerów poczdamskich, gotowi zwątpić o moralnym wpływie takiej szkoły na duszę i ciało chłopaka. Deputowani, mający uchwalać budżet armii, mogą zastanowić się nad kwestyą, czy warto wypłacać pensye generałom, którzy woleli na wszystko przymrużyć oczy. Jakiś zuchwały socjalista mógłby powątpiewać o rycerskiej cnocie tych dowódców, którzy nie mieli odwagi stanąć przed cesarzem i powiedzieć mu, co się dzieje w jego gwardyi przybocznej.

Rozprawy w wyższej instancji mogą dowieść, że hr. Moltke, ów małżonek, *exempt des passions, qui peuvent alarmer la pudeur*, nie miał tak czarnej duszy, jak to wynikało z zeznań hrabiny. Doradcy prawnemu hrabiemu uda się może przekonać sędziów, że zeznania owe podyktowała *l'ambition irritée d'une femme, qui espère encore*. Ogólnego obrazu to nie zmieni. Lud nie odzyska dawnego respektu dla tych rycerzy, zakutych w stal.

Czar pryska. Cóż będzie, jeżeli się okaże, iż urok, otaczający dynastję, armię, cnotę rodów starych domów szlacheckich, traci siłę promieni południowych i zabarwia się już zwolna blaskami zachodu? Ostatni proces sam przez się — nie sprawił tego. Skompromitował tylko kilku starych lampartów. Zrobił natomiast co innego. Dzięki zbiegowi okoliczności pokazał światu niektóre czynniki, niektóre sprężyny, działające stale, choć w ukryciu, podkopujące cicho i zwolna to, co przez lat kilkadziesiąt rosło w siłę, w znaczenie, w powagę. Odsłonił usposobienie ludu, patrzącego na tę poniewierkę półbogów, jak na widowisko ucieśnione; odsłonił stosunek dygnitarzy dworskich do ich Pana, któremu nie śmieją wspomnieć o czemkolwiek, co go wprawiło w zły humor, bo za odezwanie się, gdy się nie jest pytanym, można popaść w niełaskę; odsłonił próżniacze, rozpustne, wyuzdane życie dygnitarzy, którzy — winni, czy niewinni — nie dorośli w każdym razie do stanowisk, na które powołała ich łaska monarsza.

Zamknęły się drzwi sali sądowej. Przedstawienie się skoń-



J. Gabowicz. Mały rybak.



J. Gabowicz. Pisklęta.



J. Gabowicz. Szarotka.

Malarstwo rosyjskie.

W rozwoju każdego społeczeństwa przychodzą okresy, w których najtęższych inteligencji trzeba szukać na innych, niż poprzednie, polach. Przyczyny, warunkujące zmiany dotychczasowego pola realizacji najpotężniejszych umysłów danej epoki, mogą być bardzo rozmaite i ciekawe do poznania. Faktom np. w życiu współczesnych Niemiec jest (jak to sami zresztą przyznają), że najoryginalniejsze jednostki i najtęższe inteligencje niemieckie pracują w handlu i przemyśle, nie zaś w sztuce. Niemcy świadomi są tego faktu i godzą się z nim, uzasadniając go przyczynami ekonomicznej natury, nie wyrzekając się bynajmniej nadziei, że w przyszłości zwróci się znów do przerwanych tradycji w krainie kontemplacji i piękna. W państwach, gdzie rozwój odbywa się normalnie, każdy rodzaj inteligencji znajduje łatwo swe ujście. Inaczej dzieje się, gdy naród utraci swą niezależność, lub gdy nad umysłowością i jej rozwojem wisi nieustanna groźba.

W Rosji widzimy dziś, że jej sztuka, malarstwo rozwinęły się nadzwyczaj bujnie, że szukają w niem ujścia wybitne indywidualności a zarazem szlachetne umysły. Dziś, gdy różnice narodowościowe zaznaczyły się wyraźniej, niż kiedykolwiek, malarstwo rosyjskie zaliczyć trzeba do najbardziej narodowych, jakie są w Europie. Właściwość tę zawdzięcza malarstwo rosyjskie tylko sile swych talentów i *przeświadczeniu*, z jakim się one ujawniają na zewnątrz. Wystarczy przejrzeć reprodukcje dzieł sztuki rosyjskiej, aby się przekonać, jak wielką jest różnica między malarstwem rosyjskim, a całym — zachodnio-europejskim. Widok tych obrazów działa poniekąd orzeźwiająco, obudza ciekawość, podnosi wiarę w nieprzerwany ciąg ludzkich wysiłków, a przede wszystkim otwiera *nowe możliwości*, nowy *typ* piękna. To jest ważne.

Jaką jest zasadnicza nuta tego malarstwa, jakie wartości nowe wnosi ono do ogólnoludzkich zdobyczy i jakie miejsce zajmuje w sztuce europejskiej? Nietzsche twierdził, że lektura Dostojewskiego była dlań jedną z najbardziej pouczających, że

Trzeba zmienić obyczaje. Miliony tych, którzy państwu dają grosz i rekruta, zasługują, by się z nimi liczone.

Uspokoić ich można. Nie trzeba się tylko ludzi, że zapomną o wszystkim, czego się nasłuchali w ubiegłym tygodniu. Gdy mnóstwo drobnych szczegółów wypadnie im z pamięci, brzmieć im będzie jeszcze w uchu wyraz jeden, drobny, słodki, do zapamiętania łatwy: *das Liebchen*.

Niema w tem nic złego. Tak nazywali cesarza najdzielniejsi i najwierniejsi jego towarzysze. Ludzie, których pra-pradziadowie przelewali krew za Hohenzollernów, gdy mówią o tym śpiewaku na tronie, o tym gęslarzu, śpiewającym w dal ku północnemu słońcu, nie znajdują nazwy stosowniejszej nad to proste, pieszczotliwe: *Liebchen*. Kiedyś w mowie do ludu wyrwało się Wilhelmowi II-mu to wiekopomne zdanie, iż dziad jego byłby kanonizowany, gdyby był żył w Wiekach Średnich. Dla siebie samego cesarz niemiecki nie oczekuje chyba kanonizacji. Wystarczy mu, jeżeli potomni obdarzą go przydomkiem czułym: *mein Liebchen*.

Tadeusz Smarzewski.



czyło. Ale wszystkie te czynniki i wpływy, wszystkie te podniety i bodźce, wszystkie te mikroby i bakcyle, których działalność można było przez dni kilka badać w sali gmachu sądowego, jakgdyby w wielkim laboratorium przyrodniczym, nie przestaną od razu działać, szerzyć się i dalsze wywoływać następstwa. Czują to wszyscy. Nie może tego nie czuć i Wilhelm II-gi.

Nie wskutek procesu, ale wskutek tych wszystkich powolnych przemian, które proces błyskiem iskry elektrycznej oświecił, trudno uwierzyć, by naród niemiecki słuchał dziś w pobożnym skupieniu, w pokorze i zachwycie takich mów, jak te, którymi cesarz raczył słuchaczów w pierwszym okresie panowania. Nie łatwoby dziś było bez narażenia się na śmieszność powiedzieć do oddziału rekrutów, że żołnierz pruski musi czuć ducha chrześcijańskiego w sobie, jeżeli ma spełnić wszystko, „czego przełożeni żądają”. Trudniej byłoby powtórzyć mowę, zapowiadającą żołnierzom, że na rozkaz cesarski mają strzelać do ojców i braci. Któżby przewidział, że zeznania kirasyerów stanowiąc będą epokę w dziejach wymowy pruskiej.

otworzyła mu oczy na olbrzymie zasoby energii, nie zużytkowanej jeszcze na wschodzie Europy. Żywotność malarstwa rosyjskiego stwierdza istotnie to przekonanie: zdobyło ono już sobie wybitny walor na Zachodzie.

A więc raz jeszcze: jaką jest zasadnicza nuta tego malarstwa? Odnajdziemy ją przez porównanie. Jest ona na ogół *majorowa, ciemna*. Napróżnoby w niem szukać tej radości lub spokoju, z jakimi spotykamy się na Zachodzie lub Południu. Oglądając utwory najbardziej utalentowanych malarzy rosyjskich, widzimy upodobanie do ujawnienia na zewnątrz uczuć ponurych, smutnych, graniczących nieraz z beznadziejną rozpaczą, jak np. w dziełach Wróbla, lub w pejzażach Lewitana. Tego odcienia pesymizmu nie spotyka się nawet u zimnych malarzy Północy. Jakkolwiek i na Zachodzie Europy znajdujemy ludzi, których smak wyrażał się w tematach, poruszających ciemne strony życia, to przeciw w zętnięciu z niemieczać tę zdecydowaną *formę* uczucia przynębiającego, czy przerażającego. Będzie to np. Goya,— będzie to zdecydowany dyabeł, z którym można *walczyć*...

W duszy rosyjskiej rozpacz jest tak nieuchwytna, skala tej rozpacz tak rozległa, że trudno dać sobie z nią radę. Mimowoli powstaje pytanie: Dlaczego? Oto podłożem jej jest *nihilizm*, uwarunkowany klimatem, najdalszemi, najbardziej sprzecznymi wpływami (Wschód), całą historią narodu. Pamiętać tylko trzeba przytem, że przejawy tych uczuć są bardzo *głębokie*, że pesymizm ten nie ma w sobie nie „hygienicznego”, jak np. u Niemców i dlatego jego realizacja w formie dzieł sztuki napiętnowana taką siłą przekonania i tak pociągająca. Tem się tłumaczy wpływ i rozgłos Dostojewskiego i innych. O ile więc w życiu będzie to groziło zagubą, śmiercią, o tyle w sztuce ma wartość istotną, tę, jaką nadaje wiara i poczucie, że tą drogą można się uwolnić od ciężaru przytłaczającego duszę. To nas interesuje i pociąga do poznania tej Sztuki.

Te różnorodne żywioły rosyjskiej duszy, które znalazły już swój wyraz w kreacyach literackich, żywych i silnych, jak sama natura, mają swe odpowiedniki i w malarstwie rosyjskiem, a wszystko to wykwita z jednego ogólnego podłoża. „Świętych starców” z Dostojewskiego, tych przedstawicieli rosyjskiego ascezyzmu, spotykamy w dziełach Nesterowa, jednego z najtypowszych i naj-



Sierow. Portret ojca malarza.

zodolniejszych artystów rosyjskich. Rozliczne formy tego ascetyzmu znalazły w nim doskonałego, a przedewszystkiem oryginalnego i *głębokiego* interpretatora. Nesterow jednak zużył się malowaniem tych tematów... Zwrócił się do portretu, a nawet (wiem to z rozmowy prywatnej) do malarstwa — rodzajowego. Ma się tu wrażenie, że ktoś, zbadawszy temat do głębi, przekonywał się, że na dnie jest pustka, nic — i zawraca. Znowu więc nihilizm, tylko w innej formie. Te formy nihilizmu mają jednak w obrazach Nesterowa piętno i szaty głębokiego liryzmu. Ten sam zasadniczy popęd znajdziemy i u innych, równie zdolnych i głębokich malarzy rosyjskich.

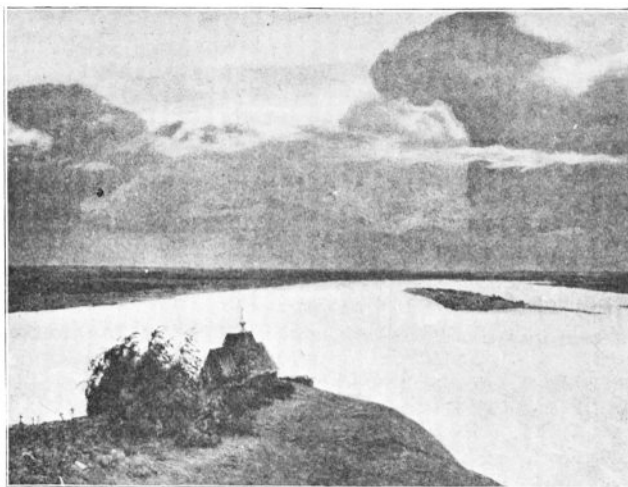
Będzie to Lewitan, największy bodaj z pejzażystów rosyjskich, żyd z pochodzenia, jedna z najoryginalniejszych organizacji artystycznych w sztuce europejskiej. On też gra na tej samej *ciemnej* nucie rosyjskiego malarstwa, tylko smutniej, głębiej i rozpaczliwiej od Nesterowa. Smutek w jego obrazach ma charakter bardziej e-legijny, jest łagodniejszy, niż u Wróbla np., gdzie smutek ów docho-

dzi do nieznanego gdzieindziej napięcia. Pesymizm utworów Wróbla występuje niemal egzotycznie, zrealizowany w formach nadzwyczaj oryginalnych i wartościach barwnych, nie spotykanych u nikogo, a odzwierciadlających psychologicznie wiernie te nastroje, które przeżywał duch jego ponury i głęboki. W zestawieniu z jego dziełami niewątpliwie pesymizm dość sławnego malarza norweskiego Muncha wydaje się trochę dziecinny, a mniej przekonującym. Pod względem *siły* przekonania, można je porównać jedynie z niektórymi obrazami Wyspiańskiego. Dzieła obu tych artystów są dekoracyjne w najlepszym znaczeniu, skala tematów równie rozległa; różnice są tylko w *smaku* i koncepcji formy i koloru. Wyspiański rysuje lepiej od Wróbla, mniej oryginalnym jest natomiast w kolorze. Wróbel realizuje harmonie o barwach perłowej macicy, drogich kamieni, ciemnych, ponurych fioletołów, które charakteryzuje niezrównanie piękno zjawisk i rozpaczliwych wizji swego świata. Jego ulubionym tematem był *Demon*, do którego ciągle wracał i przetwarzał, chcąc mu dać możliwie doskonały wyraz i formę.

Innego interpretatora tych skłonności, upodobań i przejawów rosyjskiego ducha miało rosyjskie malarstwo w talencie Wereszczagina. Ten, jakkolwiek nieco płytszy od poprzednich, namalował szereg obrazów, z których wieje prawdziwa groza głęboko odczutyh momentów okrucieństw, morderstw i pożogi wojennej. Wereszczagin był jednak większym w pomysłach aniżeli w malarskiej ich wykonaniu. — Malarstwo rosyjskie ma również, jak inne, przedstawicieli zdrowego realizmu, w osobie *Repin*a, takich, jak Zorn, u nas Wyczółkowski. Tego jednak można uważać za interpretatora południowo-rosyjskiego życia, a więc dla *smaku* prawdziwych Rosyan mniej strawnego... Bardziej zbliżonymi do poprzednio opisanego typu są: Wasnetzow, Somow, Sjerow, Maljutyn, Poljenowa i inni, wszyscy ludzie



Nesterow. Pustelnik.



Lewitan. Wieczyste ukojenie.

o wybitnem poczuciu dekoracyjnego ładu, oryginalni i rzeczywiście utalentowani.

Oglądając fotografie z dorobków tego rodzaju, jak budowle olbrzymich mostów i t. p. w Ameryce i Anglii, podziwia się nie co innego w zasadzie, jak to bogactwo, z którego odsetek mogą powstawać te dzieła. Podobnie dzieje się w sztuce. Tu też dzieła powstają z odsetek kapitału energii, inteligencji i żywotności narodu; inna jest tylko forma wzruszenia, jakiego doznajemy na ich widok.

W malarstwie rosyjskiem widzi-

my ogromną skalę talentów, których utwory wybiegają nieraz daleko poza granice czystego malarstwa, jednak o takiej sile malarzkiej, że nie tracą nic ze swej zasadniczej wartości, jak „tendencyjność“ nie odbiera im godności i miana dzieł sztuki. Brak mu oczywiście tej kultury, jaką ma malarstwo francuskie, ale jak na sztukę młodą, wyblysnęło ono wśród europejskich, jako jedno z najsilniejszych, zasobne w nowe, oryginalne wartości.

W. Młtaraki.

Kaz. Tetmajer.

Król Andrzej.

POWIEŚĆ.

4 Król Andrzej stuknął kostką wskazującego palca w stół z zadowoleniem i w tejże samej chwili złapał się za głowę prawie z jękiem. Czterysta jedenaście i pół czterystu jedenastu franków dziennie, to czyni, przyjąwszy tylko czterysta dla łatwiejszego rachunku, franków sześćset, czyli—król Andrzej szybko pomnożył ołówkiem na papierze—dwieście dziewiętnaście tysięcy z górą, które czynią owe jedenaście rocznie. Dwieście dziewiętnaście tysięcy rocznie niespodzianego wydatku, kiedy się ledwo koniec z końcem wiąże, a raczej, kiedy się ich wcale nie wiąże!..

— Może przecie będą umierać trochę—epidemie, starości...

Strzepnął ręką, aby odpędzić te niecne, a usłużne myśli.

— Marysia!—przemknęło mu przez głowę.

A z za okna dolatywała gdzieś daleka już melodyjna pieśń rybacka.

Król Andrzej był melancholiczny. Melancholia króla Andrzeja była szeroka, rozlewna, łagodnie smutna i nie można powiedzieć, żeby nie była dziecinna, z czego on sam zresztą zdawał sobie doskonale sprawę. Była podobną do melancholii biednego dziecka, czy melancholii „*dun bon prince*“, którego i życie, i los, i ludzie krzywdzą, który już zrezygnował i przekonał się, że tak być musi. Jeszcze wprawdzie król Andrzej siadał na szalonego konia i pędził na oślep, skacząc przez płoty, rowy i kamienie, jeszcze w hercogowińskich górach walił jelenie, dziki i niedźwiedzie, ale był to już raczej sport zagłuszania się, nie samo rzeczywiste zagłuszanie, nie potrzeba tego. Król Andrzej zrezygnował.

Pewnego popołudnia, siedząc samotnie na skale nadmorskiej, król Andrzej uczuł, jakby się w nim jakaś głąb otworzyła i jakby w tę głąb wpadł cały wichur jego młodości i zamknął się na zawsze, a wraz z tym wichur pogrążyło się mnóstwo dotychczasowych właściwości jego natury. Król Andrzej wrócił z tej skały, jakby odmieniony. Życie moje pozostało tam, po za mną—myślał w sobie—czuję, że już nie tworzę życia, że jestem tylko aparatem, za pomocą którego moje życie żyżywa się do reszty dla własnej ochoty, ale bez najmniejszej troski o moje z tej przyczyny zadowolenie. Jestem jakby lalką żywą, fortepianem, na którym coś gra, ale nie muzykiem, który gra. Z rzeczy czynnej stałem się rzeczą bierną.

— Coś tam robił? — spytała go jego kuzynka, królewska księżniczka Metella Teresa. — Jadąc konno po tych wzgórzach, widziałam cię długo siedzącego na skale.

— Straciłem religię i pleć — odparł król.

— Jakto?

— Ostatki religii i ostatki moich pragnień fizycznych. Skończyłem się.

— Jakto skończyłeś się? Masz dopiero trzydzieści siedem lat.

Król Andrzej tyle ich wówczas liczył.

— A jednak tak jest. Może u mnie przyszło to prędzej, niż u innych. Nie wiem. Jako król tak mało mogę poznawać ludzi. Widzisz: religia, myśl o niej, to jest główna myśl ludzkiej duszy, która tworzy, a pożądanie zmysłowe, to jest zasada ciała, póki w niem siły idą naprzód.

Księżniczka Metella Teresa zarumieniała się, — miała szesnaście lat.

— Nie bardzo cię rozumiem — rzekła. — Co do mnie: wierzę mocno i...

Urwała i jeszcze mocniej się zarumieniała.

Król Andrzej roześmiał się.

— Kobieta powinna zawsze wierzyć. Do twarzy jej z tem. Nie wiem dla czego, ale nie cierpię kobiet nie wierzących. Może dla tego, że nie cierpię kobiet rezonujących.

— Wasza królewska mość wogóle podobno nie lubi tak zwanych mądrych kobiet?

— Myli się wasza królewska wysokość: lubię tylko mądre kobiety, ale kobiety, nie mężczyzn bez wąsów, a...

— Głupi jesteś — rzekła szybko księżniczka Metella Teresa, znów ogromnie czerwona, i uderzyła lekko palczką szpicruty w usta króla Andrzeja.

— A ty bardzo ładna — rzekł król Andrzej i pocałował księżniczkę w jelonkową rękawiczkę, z przyjemnością patrząc na jej śliczną twarz o greckim nosie i podłużnych szafirowych, pełnych ognia i zuchwalstwa oczach i jej krótko strzyżone włosy o kasztanowatym połysku, wymykające się loczkami z pod kapelusza.

Księżniczka Metella Teresa, wielka przyjaciółka Marysi, oprócz tego nieubłagana arystokratka i dynastka, o której mówiono, że duszę dyabłu-by sprzedała, jeżeli by chodziło o koronę Zwonimirów, ściągnęła cugle i ruszyła dalej tegim klusem, a król Andrzej pozostał ze swoją melancholią.

A melancholia króla Andrzeja miała jeszcze dwie ważne przyczyny: jedną, jaką mieć mogli prawie wszyscy królowie polscy, drugą, jaką mieć mogą z nielicznymi wyjątkami prawie wszyscy wybitni mężowie słowiańscy. Król Andrzej, jako władca, był w stosunku do władców zachodniej Europy królem drugiej klasy. Podczas gdy wszelkie słowa, wypowiedziane w Londynie, czy Berlinie, wstrząsały świat, a wypowiedziane w Rzymie, czy Wiedniu, świat cały zajmowały, słowa króla Andrzeja, jego mowy tronowe, toasty etc. podawano w gazetach w streszczeniu i jakby przez uprzejmość tylko, a król Andrzej czuł to doskonale, że nikt prawie się niemi nie zajmuje. Bolało go to i upokarzało. Starał się też mówić jak najmniej i milczeniem, usuwaniem się w „koncercie“ królów, uprzedzał kompromitację. Jestem tylko

słowiańskim królem—myślał i mówił nieraz król Andrzej, podobnie, jak myśleć i mówić mógł i może ogromny zastęp wielkich mężów słowiańskich, z Mickiewiczem na czele.

— Król drugiej klasy! Słowiański król drugiej klasy! — potarzał nieraz król Andrzej, chodząc nerwowo po pokoju.

Króla Andrzeja bolało to i irytowało niepomrotnie; buntował się też wewnątrz swojej duszy i podnosił rokosze.

I w gabinecie jego, na dużym stole, za pomocą armii piór stalowych, których było tyle gatunków, ile państw, ze złotymi królami, generałami i admirałami, toczyły się wojny straszne, wśród których ginęły całe państwa z powierzchni świata, wywracały się trony i tworzyły olbrzymie republiki—bo król Andrzej był republikaninem z księżki — z jakimś takim urządzeniem, że dziedziczna prezydentura republiki wszechsłowiańskiej była oddana familii króla Andrzeja z prawem noszenia korony. Gdy jednak król Andrzej wyjechał na pole manewrów, choć doskonale wiedział, czego chciał, obawiał się komenderować wobec swoich generałów, a cobyż dopiero było na polu prawdziwej walki... Ujeżdżwszy się więc na ćwiczeniach dostatecznie na lewo i prawo, wypowiedziawszy bardzo wiele „dziękuję“, „zdaje mi się“, „może“, „ależ naturalnie“, „zapewne“, „bezwzględnie“ etc.—zły, czując się śmiesznym, czy był, czy nie, zmęczony, powracał do zamku, brał kąpiel ciepłą, zamykał się w gabinecie i za pomocą piór stalowych przeistaczał powierzchnię świata, a z nią swoje osobiste znaczenie. A gdy przyszedł rok trzynasty jego panowania, król Andrzej zamyslił się głęboko nad fatalizmem trzynastki...

* *

W olbrzymich kraljewskich kuźnicach żelaznych towarzystwa akcyjnego „Hamburg-Budapeszt-Wiedeń“, które za beczek wraz z kopalniami sprzedali krajowi właściciele, nie umiając się przy nich utrzymać, a na których Żydzi, Niemcy i Węgrzy zarabiali corocznie miliony, na dany sygnał nad wieczorem w poniedziałek ku końcowi lutego, robotnicy zawiesili pracę, trwającą tam dzień i noc. Potężnych pieców i ognisk nie zgaszono i buchały one jaskrawymi płomieniami, hucząc i tętniąc, robotnicy zaś w liczbie kilku ty-

sięcy, zgromadzili się na wielkim dziedzińcu przed „Walcwerkem“ „Deutscher Kaiser“, dawniej „Królewic Marko“.

Oprócz robotników, osmałonych, czarnych od dymu i pyłu żelaza, półnagich, w narzuconych odzieniach, na dziedzińcu znajdowało się także spore koło osób z inteligencji, między innymi literaci Pfefeldmann i Dreksten.

Gdy robotnicy ugrupowali się i uciszyli, na kupę rudy wyskoczył z koła inteligencji błąd, młody człowiek z długimi, rozwichrzonemi cokolwiek włosami, w pelerynie na ramionach, przystojny i wysmukły, lat około dwudziestu pięciu. Powitał go grzmot okłasków i okrzyków uznania, poczem umilknięto odrazu. Przyzwyczajony był do tego Marko Slavicz, redaktor dziennika robotniczego.

— Towarzysze! — zawołał donośnym, dźwięcznym głosem i przebiegł oczyma wokół siebie. — Towarzysze! — powtórzył — Otóż nadszedł dzień, kiedy proletaryat zaważyć może na szali dziejów państwa, kiedy Południowa Słowiańszczyzna zadrzy na głos woli pracującego ludu, kiedy Europa i świat cały spojrzy na nas z podziwem, a bracia nasi w londyńskich dokach, w berlińskich i lyońskich fabrykach, w sycylijskich kopalniach i galicyjskich sztolniach podziemnych zakrzykną nam: niech żyją! Pierwszy raz w dziejach świata, my, proletaryat południowo-słowiański, my, socjaliści południowo-słowiańscy położymy naszą ciężką, twardą od pracy dłoń na kolesteru naszej nawy państwowej, powiemy rządowi: veto! — przed którym ugnie się, skurczy, cofnie i w proch upadnie!

Tu niewielką, cienką ręką wykonał ruch energiczny strącania na dół.

— Towarzysze! Rząd chce wojny, wojny chcą klasy panujące i posiadające, burżuazja wszelkich odcieni! Chodzi im o rywalizację na Morzu Adriatyckiem, o przewagę na niem, o wyspy, które Włosi chcą jako by Południowej Słowiańszczyźnie wydrzeć! Dla ambicji rządu, dla chęci zysku kapitalistów, tysiące, dziesiątki tysięcy, może setki tysięcy słowiańskich chłopów ma krwią swoją napoić ziemię i zacerwienić morze; tysiące, dziesiątki tysięcy was, towarzysze robotnicy, ma piersi swe nadstawiać na armaty! I komu? Braciom naszym tam, z za morza, towarzyszom naszym, również, jak

my, przez ambitnych i chciwych kapitalistów, na których usługach rząd stoi, do wojny partym. Wojny tej nie będzie! My jej nie chcemy! Towarzysze! Co nam ta wojna dobrego przynieść może, na co ona nam jest potrzebna, jaką z niej korzyść mieć będziemy? Lud pracujący nie walczy o rozszerzenie granic państwa, lub o uchronienie ich od zaboru, przedewszystkiem dla tego, że tego państwa nie uznaje! Niema granic! Niema zaboru i obrony! Niema Włochów, Słowian, Francuzów, Niemców, Anglików, Japończyków, czy Amerykanów! Niema Włoch, Austrii, Belgii, czy Szwecji! Niema państw, niema narodów! Jest tylko świat i jest człowiek!

Grzmot okłasków, okrzyków i wrzasków rozległ się na podwórzu kuźni „Kraljevica“ przed walcwerkem „Deutscher Kaiser“.

— Towarzysze! Bracia! — wołał dalej Marko Slavicz. — Precz z tym potworem, który się nazywa patryotyzmem! On to urodził wojnę, on zgnieł już dziś słowo: narody! On jest ojcem niezgody, zawiści, nienawiści pomiędzy narodami...

— Niema narodów! — krzyknął ktoś z tłumu.

Marko Slavicz zastanowił się chwilę, popatrzał w tę stronę i krzyczał dalej:

— Tak jest, towarzyszu, pomyliłem się: niema narodów! Powinienem być powiedzieć: pomiędzy ludźmi mówiącymi w różnych językach. On to, patryotyzm, to widmo ohydnej przeszłości, ten trup cuchnący i zarażający powietrze, ten upiór, którego dotąd jeszcze tak przywołać do trumny nie można, aby z niej więcej nie powstawał, on to jest ojcem i matką waśni, od których ziemia od krwi pęcznieje, a morze od krwi ludu wzbiera! Hańba mu! Po trzykroć hańba!

— Hańba! Hańba! Hańba! — zahuczał tłum.

— Wątpię, aby tak jednak mówił, zwłaszcza teraz, który Włoch — szepnął Dreksten do Pfefeldmanna.

— Tak, to jest czysto słowiańskie — odrzekł Pfefeldmann z buzią minoga i uśmiechnął się genialnie pogardliwie finezyjnoskeptycznie obokrajowo.

Marko Slavicz zaś wołał dalej: I cóż nam data wojna? Cóż my wygrać, albo przegrać możemy? Celem naszej walki jest obalenie dotychczasowego porządku rzeczy, zmurszałego ustroju,

niecnego systemu rządowo-burżazyjnego! Celem naszej walki jest wywalczenie praw proletariatu, obalenie przywilejów klasowych, zniweczenie kapitału, podniesienie dobrobytu ludności pracującej, równość powszechna, moralna i materyjalna, państwo socjalistyczne! A w tej walce, czyż ci, którzy będą stanowić dziewięć dziesiątych obu armii, staną przeciw sobie? Walcząc o jedno, będziemy się bili między sobą? Dążąc do jednego celu, sami sobie zastępowali drogę? Czyż jesteśmy szaleni, my i nasi bracia z za morza?

Towarzysze! Jeśli my odrzucimy broń, Włosi nie pójdą na nas! A wówczas i tu i tam rząd skompromitowany, złamany, samą siłą faktu, runie!

Gdyby zaś jednak Włosi i weszli w tak zwane nasze granice, cóż tracimy? Kwirynał, czy Spalato jest tem samem! Zyskać możemy tylko to, że nas więcej będzie razem i że zjednoczeni towarzysze z nad Tybru i Neretwy przedrą zamek w Kwirynale i w Spalato zamienimy na szkoły dla naszych dzieci i domy przytułku dla naszych ojców, którzy dziś żebrzą!

Niech żyje socjalistyczny komunizm, współbraterstwo, równość! Niech żyje!

DCN

Instytut teologii żydowskiej.

Odroczony przed kilkunastu dniami sejm galicyjski uchwalił założyć we Lwowie kosztem kraju instytut teologii żydowskiej dla wychowywania nauczycieli religii mojżeszowej dla szkół ludowych i średnich. Instytut wejdzie w życie już w jesieni r. 1908.

Sprawa na pozór sucha i bezbarwna, w rzeczywistości pierwszorzędna, narodowego znaczenia.

W Galicji żyje 800.000 żydów. Do szkół publicznych chodzą dziesiątki tysięcy dzieci żydowskich. Państwo, względnie kraj lub gmina, ma obowiązek dać im ukwalifikowanego nauczyciela religii starozakonnej. I daje. Lecz w kraju nie było dotąd nigdy i nie ma zakładu, któryby takich nauczycieli kształcił. Zakłady podobne istnieją w Wiedniu, we Wrocławiu i Berlinie, i tam musiał do tej pory udawać się na studia młodzieniec, który pragnął obrać sobie zawód nauczyciela religii. Instytut wiedeński jest od dawna ogniskiem ruchu syjonistycznego. Młody żyd z Polski, który

szedł tam na naukę, przejmował się tym kierunkiem, a będąc przez kilka lat oderwany od kraju, ulegał wpływom obcym, zwykle wrogim dla polskości i gdy wracał z patentem, aby objąć stanowisko nauczyciela, był skończonym szkodnikiem, przed którym właściwie drzwi szkoły polskiej powinny były być zamknięte.



Dr. Leon Sternbach, prof. uniwers. Jagiellońskiego.

szedł tam na naukę, przejmował się tym kierunkiem, a będąc przez kilka lat oderwany od kraju, ulegał wpływom obcym, zwykle wrogim dla polskości i gdy wracał z patentem, aby objąć stanowisko nauczyciela, był skończonym szkodnikiem, przed którym właściwie drzwi szkoły polskiej powinny były być zamknięte.

Ten stan rzeczy nie mógł istnieć bez końca w społeczeństwie, świadomości swoich interesów i zadań.

Należało mu koniecznie kres położyć.

Stało się to wreszcie teraz. Od najbliższego roku szkolnego powstanie we Lwowie izraelski instytut teologiczny, utworzony, jako zakład krajowy polski, utrzymywany kosztem kraju przy udziale zasiłku ze skarbu państwa i ofiarności gmin wyznaniowych. Uchwała sejmu uczyniła z niego już teraz instytucję realną.

Instytut obejmie dwa oddziały: niższy, który będzie kształcił nauczycieli religii dla szkół ludowych, i wyższy, o poziomie uniwersyteckim, który przygotowywać będzie takichże nauczycieli dla szkół średnich. Obok tego projektowane jest jeszcze utworzenie specjalnego oddziału dla nauki judaistycznej, któryby kształcił rabbinów. Te cele praktyczne, wychowawcze, zjedną się, jak już zaznaczyliśmy, z celami narodowymi polskimi. Szkoła, znajdując się w kraju, poddana kierownictwu ludzi znanych ze swych obywatelskich uczuć, wydawać będzie mogła nauczycieli, będących również dobrymi obywatelami, którzy szczęście ludu żydowskiego upatrywać będą w ścisłym związku z resztą ludności.

Inicjatorem, można powiedzieć: twórcą instytutu jest prof. uniwersytetu Jagiellońskiego, dr. Leon Sternbach. Nazwisko znane dobrze w świecie naukowym, mniej znane ogółowi.

Jeden z wybitnych krakowian powiedział kiedyś o wszechniej Jagiellońskiej, że ma ona dwa rodzaje profesorów: jednych zna cały Kraków, ale nie słychać o nich w świecie, dru-

gich zna cały świat, ale za to głuch o nich w Krakowie. Do tych ostatnich należy prof. Sternbach. Do niedawna jeszcze po za ścianami swej, nawiasem mówiąc, przepysanej klasycznej biblioteki, po za wykładami i pracą naukową, nie wiele interesował się sprawami bieżącego życia. Dopiero w r. 1905, powołany na delegata do Rady szkolnej krajowej, jako przedstawiciel wyznania mojżeszowego, musiał wyjść ze swej naukowej rezerwy i z natury rzeczy zainteresować się zagadnieniami, związanymi ze szkolnictwem. Minęło parę lat i w tej chwili nazwisko tego filologa klasycznego znajduje się na ustach całego kraju.

Jako reprezentant żydów, rozpoczął prof. Sternbach zaraz starania około założenia instytutu teologicznego we Lwowie. Dzieła tego dokonał w krótkim czasie. Niezwykłe energiczny, pracowity, znany sferom wpływowym ze swych czystych, idealnych intencji, pousuwał piętrzące się przeszkody, nie zważał na ataki fanatyków syjonistycznych, rozruszał apatyczne gminy wyznaniowe, a rezultatem tych zabiegów była uchwała Sejmu, wprowadzająca w życie krajowy instytut teologiczny żydowski. Dziś, gdy dzieło zostało w zasadzie przeprowadzone, prof. Sternbach rozpoczął nową, ciężką, ale wdzięczną pracę: zbiera fundusze na budowę gmachu instytutu, na internat dla uczniów, na stypendya.

Prof. Sternbach rozwinął niedawno obszerny program wychowawczy zakładu przed redaktorem „Jedności”. Jest to program, który po za znakomitą uczoną, oddaną całą duszą swej specjalności, pozwala widzieć jeszcze gorąco czującego obywatela, orientującego się wybornie w stosunkach.

Odmalowawszy anormalny stan rzeczy, w którym nauczycielami przedmiotu tak ważnego, jak religia, byli w szkołach naszych wychowankowie niemieckich zakładów, rzekł prof. Sternbach:

— Potrzebom naszego społeczeństwa może odpowiadać jedynie instytut na gruncie polskim, poręczający nie tylko wysoki poziom naukowy, ale także patriotyczny nastrój młodzieży i jej przywiązanie do tej ziemi, w której przodkowie nasi drugą znaleźli ojczyznę. Pragnęłam, aby w kraju był nadzór nad przyszłymi wychowawcami młodzieży żydowskiej, by społeczeństwo miało ich w swej nieustannej, czujnej opiece i pod swym wpływem.

Charakter polski instytutu został też zabezpieczony całym szeregiem skutecznych środków: stanowiska profesorów i docentów powierzone zostaną wyłącznie kandydatom narodowo-polskim, a cała organizacja przeprowadzona została w ten sposób, iż wykluczona jest obawa, aby kiedykolwiek mógł uleść zmianie kierunek, jaki instytutowi dają dziś jego twórcy.

Lwów.

Clara



Jak sobie Francuzi przed stu laty wyobrażali stolicę Polski.

(Znajomość geografii nie była nigdy mocną stroną rodaków Wolter'a).



Ze zbiorów Aleks. Kraushava.

Warszawa według litografii francuskiej w końcu XVIII-go wieku.

Ostatni utwór Wyspiańskiego.

W ostatnich miesiącach ukazały się w różnych pismach liczne wyjatki z dwóch dramatów Wyspiańskiego, z „Zygmunta Augusta” i „Juliusza II”. Gdy równocześnie rozeszła się wiadomość, że „Zygmunt August” jest na ukończeniu i niebawem ukaże się na scenie teatru krakowskiego, nie spodziewano się, że w międzyczasie zjawi się na półkach księgarskich zupełnie nowy utwór. Jest nim tragedia w jednej odsłonie p. t. „Sędziowie”.

Jeżeli o dramatach, wydanych przez Wyspiańskiego w ostatnich latach (Achilleis, Akropolis, Skalka, Cyd, Powrót Odyssa) mało pisano, a jeszcze mniej na ich temat dyskutowano, to niezawodnie ten sam los nie spotka „Sędziów”. Tu bowiem są ludzie i walki, nad którymi nie można przejść do porządku dziennego z zamknięciem ostatniej strony. Tu rozgrywa się naprawdę tragedia i to tragedia bliska, pełna charakteru i żywiołu.

Rzecz dzieje się na wsi, w karczmie żydowskiej. W tej karczmie służy młoda dziewczka Jewdocha, której ojca stary karczmarz Samuel zgwałcił, złupił i do zbrodniczego czynu, a w następstwie kryminału doprowadził. Jewdocha wcale o tem wszyst-

kiem nie wie, od dziecka się już w karczmie u swoich „panów” chowa, a gdy przypomni ojca,

„to się widzę tu u proga mała,
wylekła,—co ktoś mnie goni,
ot tak z ręką na mnie zamierzona;
chce tłuc i z taką czerwoną
twarzą, co ogniami pała,—”

Jewdocha pokochała syna karczmarza, handlującego między innymi, do spółki z ojcem, „żywym towarem”. Natan uwiódł ładną dziewczkę, a może i kochał, ale on, inny człowiek, człowiek interesu, którego światopogląd streszcza się w słowach: „Každy dla siebie żyje. Sam się broni. Słabszy pada”—uwolnić musi się z tych pęt. Tembardziej, że jest dziecko, znak widomy zbrodni. Trzeba się go pozbyć! Dziecię młodości pada ofiarą. W nim—krew zimna, w niej sumienie drży i rozpacza.

„To jego płacz słyszę okropny,
tak okrutliwie żaloszny,
że gdzie spojrzę, to widzę te oczy,
jak się one ku mnie patrzą,
jak płacze, jak lka, jak te ręce...
te mnie mściwe oczęta ścigają
i tak żyję w tej morderczej męce
wciążle myślą przy dziecku, przy zbrodni.
Okrutnica,—jędza, ja zabiła!”

A gdy ją w końcu Natan chce zupełnie opuścić i poszukać sobie żony, ta sponiewierana dziewczka urasta do wyżyn tragizmu i, tarzając się u jego nóg, żąda, by ją zabił.

„Chcę. — Musisz.
A potem ty się żeni z tą ręką krwawiącą.”

Wtem wraca z więzienia ojciec Jewdochy. Odpokutował winy i wraca dziadem w łachmanach, lecz z zemstą w sercu i z mocą w duszy. Jewdocha go nie poznaje, a wspomnienia dziecka bolesne ku ojcu nie ciągną. A mimo wszystko

„tobym rękę dzisiaj całowała,
co mnie biła... bo swoja...”

Straciwszy wszelką już nadzieję, zrezygnowana na wszystko. Sytuacja dla Natana groźna. Wyjście jedyne: Jewdochę usunąć!

Natan umawia się z ojcem, plan przygotowany. Sposobność nadarza się. Jewdocha zabita, a winę zwalają na Urlopnika, brata Jewdochy!

Niespodzianie zjawia się Sędzia, Nauczyciel, Aptekarz, Wójt i Żandarm. Przeprowadziwszy śledztwo, zakuwają Urlopnika w kajdany, a Natan zostaje na stopie wolnej, złożwszy kaucję. W tym momencie młodszy syn karczmarza Joas, chłopak, który „mówi, że Bóg przezmnie ostrzeżenie przed karą, co późna spada”, czytając w jasnowidzeniu ukrytą prawdę, wskazuje brata i ojca i woła strasznym głosem:

„on winien—on zły duch—on bies.”
„On jest zbrodnią!”

W chwilę potem pada z otwartymi ustami i rozkrzyżowanymi rękoma—trupem. Ojciec oszalały w bólu i zmiążdżony tą widomą zemstą, czyni spowiedź swych zbrodni w podniosłej modlitwie.

„Jahweh!
wejrzyj na dom mój cmentarny,
gdzie wybiła śmiertelna godzina
i wyrzuci Słowo
nad ojca głową:
że chciałeś mi zabrać syna.“

W sieni słychać dzwonek, do umierającej przychodzi ksiądz, a tragedję kończą słowa dziada-ojca: „Powróćisz mnie, Panie, wszystkie, które wzięłeś. Albowiem rzeczono: Tyś jest, który byłeś i będziesz.“

* *

To mniej więcej łożysko tragedyi, z rozmysłu surowo przedstawione, tembardziej jednak uwydatniające zalety i wady utworu. Od razu bowiem powiedzieć należy, że i te są i to w poważnej nawet sumie. A mianowicie: dramat, biegnący do sceny zabójstwa logicznie i jasno z olbrzymią siłą ekspresyi, z za słabem może tylko umotywowaniem konieczności zabójstwa,—łamię się w tem miejscu i ciągnie się już ku końcowi bez fantazyj i rozpędu pierwszych scen zawiązanej tragedyi, gubiąc się w wyraźnej nieporadności kompozycyi. Pomysł bowiem z nabijaniem rewolweru i cała scena zabójstwa są w faktycznie naiwne, a teatralnie zgola chybione. W dalszym zaś ciągu przedstawia się autor nagle troszczyć o realne tło teatru i najniespodzianie, a zarazem najniepotrzebniej w świecie, wprowadza kilka postaci, które mają być komiczne, działać kontrastem, a w swych realnych konturach charakteryzowane są stale powtarzającymi się wyrażeniami, jak: „Ta co?“ i „Niby tego“. Scena to przykra, najsłabsza wśród najsłabszych w dotychczasowej twórczości Wyspiańskiego. A przy końcu jeszcze jedna silna scena, scena kary i spowiedzi, wyrwana już jednak z dramatycznego nastroju i tem osłabiona. Poza tem cały szereg wadliwych drobniaków, jak np. nie dramatycznie wprowadzona postać brata Jewdechy, bezcelowe wmieszanie kwestyi wywozu „towaru“, a w następstwie przeładowanie zbrodniczością zbyteczną, natomiast niedostateczne przedstawienie planów Natana, dotyczących się jego małżeństwa, jako też wspomnianych, a nie wyjaśnionych bliżej „konszachtów“.

Mimo te wszystkie zastrzeżenia, są tu postaci dziwnie wypukłe (Jukli) i sceny cudowne, do najlepszych w twórczości Wyspiańskiego należące, pełne grozy, teatralnie wspaniałe, a charakter Jewdechy jest przeprowadzony w tak silnej linii, że jest ona niezawodnie najgłębiej odczuta kobietą Wyspiańskiego, a w interpretacji scenicznej (p. Przybyłko) byłaby jednym z wielkich zjawisk scenicznych.

Kraków.

Arnold Schifman.

Dyplomacya europejska wobec Polski

w latach 1862 — 1864.

3

V.

Ruch narodowy w Polsce od chwili swego zaostrzenia się, a zwłaszcza od zbrojnego wybuchu stawiał Napoleona w nader krytycznem położeniu. Nietylko odwiekał i utrudniał coraz bardziej zawarcie tak upragnionego „wielkiego przymierza“ z Rosyą, ale nadto stwarzał kłopotliwą sytuację wewnętrzną i niezdolnością czynił stanowisko cesarza wobec mocarstw, które z zawiścią patrzyły oddawna na wzrost wszechwładny dworu paryskiego. Opinia publiczna we Francyi zajmowała się żywo wypadkami w Polsce, a stronnictwa i żywioły niechętnie cesarstwu korzystały skwapliwie ze sposobności, aby podkreślać bijącą w oczy sprzeczność między zasadami, głoszonymi przez cesarza, a jego zachowaniem się wobec powstania polskiego. Partyi i drażniony przez opinię i przez przeciwników, Napoleon był przytem wystawiony na upokorzenie miłości własnej ze strony najbardziej mu nieprzyjaznego mocarstwa: Anglii. Gdy lord Russel zaznaczył ostentacyjnie na obiedzie, na którym obecny był poseł francuski, że niepodobna, aby cesarz Napoleon pozostał obojętnym wobec sprawy polskiej, on, który pierwszy wolę narodu podniósł do godności przykazania politycznego, i gdy następnie w poufnej rozmowie z tymże posłem oświadczył, że dłuższe ignorowanie rozpaczliwych zapasów w Polsce jest niemożliwe i że jeśli Francya nie rozpocznie jakiejś akcji za polakami, to uczyni to rząd królowej, zrozumiano w Paryżu, iż dotychczasowe bierne stanowisko nie da się żadną miarą dłużej utrzymać. To też skoro rozeszła się wieść o konwencji rosyjsko-pruskiej (niechętny jej Górczakow już nazajutrz po podpisaniu umowy powiedział o niej ambasadorowi francuskiemu w Petersburgu), postanowił Napoleon skoryzować z tego wypadku, aby wmieszać się w sprawę polską, nie pozwalając wyprzedzić się przez Anglię.

I wtedy jednak jeszcze bronił się przed postawieniem na kartę dobrego stosunku z Rosyą. Postanowił zwrócić się do Prus.

Plan Napoleona był początkowo szeroki i dobrze obmyślany. Uznając się za wyzwanego niejako przez konwencję z 8 lutego i skierowując się przeciw Prusom z zamiarem doprowadzenia rzeczy do ostatecznych konsekwencji, obliczał Napoleon, iż z projektowanej akcji wyjdzie z kilkakrotnym zyskiem. Spodziewał się,

iż popierwsze: podniesieniem sprawy polskiej ocali zagrożony urok swego pierwszeństwa w Europie, ziści tajemne marzenie o przywróceniu Francyi straconych granic Renu, którym to nabytkiem okupi zarazem ofiary, jakie przyszłoby ponieść dla Polski, wreszcie uchylił się od tak niepożądanego zerwania z Rosyą, o którym wiedział dobrze, iż jest gorąco upragnione przez rywalkę z drugiej strony kanału.

Dnia 17 lutego minister spraw zewnętrznych Druyn de Lhuys przestąpił do Berlina notę, domagającą się wyjaśnienia w sprawie konwencji. Rząd cesarski, głosiła nota, zachowywał się dotąd neutralnie wobec zamieszek w Polsce, obecnie atoli, gdy umowa z 8 lutego przywraca sprawie polskiej na nowo jej międzynarodowy charakter, widzi się zniewolonym oświadczyć, że ze swej strony nie może również wytrwać na stanowisku obojętnego widza. Równocześnie minister francuski zaproponował Anglii i Austrii wysłanie identycznej noty, w przekonaniu, że propozycja ta zostanie przyjęta i tym sposobem wystąpienie trzech pierwszorzędnych mocarstw nabierze nie małego znaczenia. Rozumowano przytem, że skoro Anglia okazuje tak gorące, a chwilami nawet natężone zainteresowanie się sprawą polską, to niezawodnie chętnie przystąpi do współdziałania. Co do Austrii, liczone na silne sympatie polskie w najbliższem otoczeniu min. spraw zagran. hr. Rechberga. Usiłując zwrócić tym sposobem ostrze sprawy przeciw Prusom, starał się Napoleon, jak wiemy, oszczędzać Rosję. W tym celu na krótko przed wysłaniem noty berlińskiej Druyn de Lhuys upewniał rząd rosyjski o swej niezmiennej życzliwości i powołując się tylko na „przywilej budzenia żywego współczucia we wszystkich stronnictwach we Francyi, jaki posiada sprawa polska“, wyrażał gorące pragnienie, aby środki, do jakich Rosya ucieknie się w tej sprawie, nie utrudniały zachowania nadal dobrych stosunków.

Atoli rachuby Napoleona okazały się zawodnymi. Oba mocarstwa, do których współdziałania przeciw Prusom odwołał się, dały odmowną odpowiedź. Było to szlachetnym optymizmem Napoleona, że sądził, iż mocarstwom tym, które przez cały czas trwania nieszczęśliwej burzy polskiej okazywały sprawie naszej wiele sympatyj, zależy istotnie na rozwiązaniu jej w duchu sprawiedliwości. Historia miała niebawem już okazać

w całej nagości właściwe sprężyny hałaśliwej gry dyplomacji europejskiej, miała przekonać, iż w koncercie tym znajdował się tylko jeden głos czysty i szczery, głos Francji, a pobudką wszystkich innych był egoistyczny interes, który sprawą polską posługiwał się brutalnie i bezwzględnie, jako dogodnym i tanim środkiem.

Na widowni polityki światowej formował się, jak wiemy, wielki sojusz dwóch państw pierwszorzędnych, które zajmowały kraniec zachodu i wschodu Europy, sojusz, który na podstawie zgodnego załatwienia sprawy polskiej i wschodniej dążył do podziału panowania w Europie między Francję napoleońską i Rosję. O rozbicie tego sojuszu, nie o Polskę, chodziło. Do tego jedynego celu zmierzały Anglia i Austria, łącząc się pozornie z Francją w działaniu za Polską, do tego samego celu i do przeszkodzenia pojednaniu dwóch największych narodów słowiańskich dążyły Prusy, na innej tylko drodze, jednocząc się z Rosją przeciw Polsce. We wciągnięciu Napoleona do gry antyrosyjskiej, które dokonywało się za pomocą zwolna, lecz pewnie działającego moralnego przymusu, upatrywała Anglia i Austria słusznym niezawodnym sposobem zażegnania na długo groźnego przymierza. Dlatego, gdy Napoleon zwrócił się do nich z propozycją wystąpienia za Polską wprawdzie, lecz przeciw Prusom, odmówiły bez chwili namysłu.

Postępowanie obu tych mocarstw w sprawie polskiej r. 1862 jest jedną z najboleśniejszych nauk, jakich dostarczyły nam stuletnie dzieje naszej niewoli.

Rząd austriacki z szczerem zadowoleniem wewnętrznym patrzył od początku na krwawy rozwój wypadków w Polsce. Jeżeli zaniepokoił się nawet na pierwszą wiadomość o wybuchu, to zaniepokojenie to trwało krótko. W Wiedniu przekonano się rychło, że nie ma niebezpieczeństwa, aby ruch rozszerzył się na Galicję, a wówczas zaczęto z lubością obliczać te wszystkie doraźne korzyści, jakie dały by się wyciągnąć z polskiego nieszczęścia. Nie było wątpliwości, że powstanie zostanie prędzej czy później stłumione, że Polski niepodległej nie wywalczy. Niewątpliwem atoli było także, że nastroża ono jedyną sposobność do poróżnienia Napoleona z Aleksandrem i przecięcia nici nawiązanego już między nimi porozumienia. Wiedziała Austria, że porozumienie to przychodziło do skutku na tle spraw wschodnich i że zagradzając jej drogę do zdobyczy terytoryalnych w tej stronie świata, niosło z sobą w zanadrzu nowe zwichnięcie jej potęgi

po świeżem wyparcu z Włoch. Jednocześnie ustalenie się rządów Wielopolskiego i pojednanie się polaków z Rosją mogło wytworzyć na dalszą przyszłość siłę przyciągającą nie tylko dla Galicji, ale także dla innych ludów słowiańskich, podległych austriackiemu berłu. Osoba Wielopolskiego, który już w r. 46 swoim listem szlachcica do ks. Metternicha dowiódł, że hołduje idei słowiańskiej, skierowanej przeciw Austrii, potwierdzała i podkreślała niejako te groźne widoki. Przedłużenie walki w Królestwie wydawało się sternikom austriackiej nawy państwowej ze wszechmiar pożądanem. Postępujące niezmierne szybko i komplikujące się niesłychanie wypadki stwarzały wprawdzie momenty, w których zdawało się na krótko, że wyobrażenia statystów wiedeńskich sięga trochę dalej w przyszłość i dostrzega także korzyści, jakie by przy lojalnym udziale w rozwiązywaniu sprawy polskiej mogły przypaść w udziale Austrii: wtedy widziano zażegnanie groźnego widma przewagi pruskiej i odzyskanie straconego pierwszeństwa Habsburgów w rzeszy niemieckiej, a także zabezpieczenie się wałem polskim od północy, atoli momenty te trwały niemal przełotnie, a po przejściu ich pozostawał dominujący w gabinecie wiedeńskim przez cały ten długi okres dogmat o bezpośrednich doraźnych i łatwych korzyściach z jak-najdłuższego przewleknięcia krwawego protestu polskiego. Im więcej krwi polskiej, im więcej zgłiszcz i ruin na nieszczęsnych obszarach Korony i Litwy, tem pewniejsze rozerwanie nienawistnego związku Francji i Rosji, tem niezawodniejsze zniszczenie kompromisu tej ostatniej z Polską, kompromisu, który niegdyś, kto wie, czy nie zagroziłby interesom austriackim. Tak sformułowany pogląd uwarunkował całe postępowanie Austrii w sprawie polskiej. Stąd jej gra obłudna i nieszczerza, udająca nastroj przyjazny tam, gdzie nie było go ani śladu, stąd owe miękkie zachowanie się w Galicji, owo patrzyenie przez palce na zbrojenie się i wychodzenie całych oddziałów powstańczych, owo jawne niemal patronowanie ruchowi polskiemu, które pozwalało w dodatku grać rolę liberalną i zachowywać pozory współczucia dla sprawy, która jednała sobie opinię całego świata.

Jeżeli jednak Austria może znaleźć dla siebie okoliczności łagodzące przed sądem historii, jako jedno z państw, które w splocie swych interesów dźwigało na sobie konsekwencye rozbioru, to w całej niecej ohydzie rysuje się przed nami postępowanie Anglii, która z całą zimną rachubą, z całą brutalnością egoistyczną interesu wydała na łup

zemsty szczęście innego narodu. Nikt hałaśliwiej nie domagał się wystąpienia w obronie walczącej Polski, aby rozpaliwszy złudnemi obietnicami pożar walki i osiągnąwszy za cenę krwi polskiej swoje własne widoki, rzucić nieszczęśliwy kraj w odmet zniszczenia. Podejmując sprawę polską, miała, podobnie, jak Prusy, podobnie, jak Austria, dwa wytknięte cele: rozerwanie przymierza Francji i Rosji, dla niej nienawistnego bardzo, niż dla kogolwiek, ze względu na wielkie interesy na wschodzie, i osłabienie w Europie wpływu Napoleona i Francji, odwiecznej swojej, tradycyjnej rywalki. Powstanie polskie miało być dla niej wyborem narzędziem do osiągnięcia tego podwójnego celu. Postanowiwszy z góry nie skutecznego, nie zwłaszcza wymagającego ofiar nie przedsięwziąć dla rozwiązania sprawy polskiej, uważając je od początku za środek tylko, stanęła pierwsza w szeregu tych mniemanych obrońców naszych, których opieka miała nam zgotować los, jakiego nie zazналиśmy do tej pory nigdy. Plan Anglii w tej grze nędznej, niegodnej wielkiego narodu, był zadziwiająco prosty: popychać Francję do akcyi za Polską, a przeszkadzając samej akcyi, w właściwej chwili usunąć ręce i zwalić cały ciężar sprawy na Francję, aby tem skuteczniej zerwać między nią a Rosją groźny dla siebie związek i okazać jej bezsilność. Jednocześnie miała odnieść korzyści moralne z platonicznego uczynienia zadość wymaganiom obłudnej filantropii, która przemawia za uciemiężonymi pod warunkiem, że nie to kosztować nie będzie. Ten plan wykonała też Anglia z całą dokładnością i precyzją.

I stosownie do tego planu odrzuciła projekt Napoleona zwrócenia się przeciw Prusom. Wspólny krok w Berlinie nie dogadzał jej widokom. Natomiast skwapliwie wyraziła życzenie, aby działanie cesarza zwróciło się przeciw „głównemu winowacy”: Rosji. Napoleon oparł się jeszcze i tym razem naciskowi. Tymczasem pierwsza jego porażka była faktem dokonany, pierwsza jawna dyplomatyczna akcyja w sprawie nieszczęśliwej Polski doznała stanowczego niepowodzenia.

DCN.

Jan Krzywdą.





KSIAŻKI.

Pominawszy wszelkie reguły i prawa estetyczne, kocham te książki, którym zawdzięczam przyspieszony puls, mały obłędzik serca, raźniejszy obieg krwi, powiększenie zwykłej porcji *joie de vivre*. *Tout le reste* od drugiej strony nie czytam. Wiem, że to nie wypada (ze względu na literackie zajęcia), ale nie mogę traktować książek inaczej, jak kobiety. Mądrych, choćby najmędrzych, ale nie podniecających mnie od pierwszej chwili, niejako od pierwszego spojrzenia, nie pamiętam, nie liczę.

Nowych światów chcę od nich. A może od siebie (przez nich). Chcę zapomnienia, że mi rano jakiś bałwan psychicznie nadeptał na nogę, że deszcz pada, że mam długi u krawca. Niech grzeszy przeciw czemu chce, ale niech mi da zaczarowany dywan, który mię zaniesie tam, gdzie jest wesoło mej duszy. Chcę tańca dla mojej duszy,—odpowiedniej muzyki, odpowiedniego powietrza.

Przypominają mi się słowa z jakiejś naiwnej okolicy i sfery tego świata, że od książki trzeba się „czegoś nauczyć”. I wołam „brawo!”, jakbym prosił wynalazł. Książka powinna być tak „pouczająca”, jak np. biała szyja i błyszczące oczy, albo jak wino węgierskie. Odwagi—powinna nas uczyć, żebyśmy się mogli „abstrahować” śmiejąc się otaczającej nas t. zw. codzienności,—żebyśmy nie bali się chodzić drogami własnej duszy i nie liczyli się nadto z rzekomą realnością publicznych gościńców.

Czytać książki, w których są nowe światy. Nie dostanie dziś gdzieś indziej nowych światów, tylko u kobiet i poetów. Na mapie? Ameryka już dawno nie jest nowa, a spowszednienie oroku biegunów (na razie nie „odkrytych”) przez hotele w stylu szwajcarskim i Cooka et Cie jest tylko kwestią czasu. Przestałem dawno wierzyć w geografie. Uważam, że „odkrywca” większym, niż Kolumb, jest np. poeta Lefcadio Hearn, który niedawno temu odkrył Japonię. Albo mało na razie znany w Europie duńczyk, Jan Jensen, który odkrył między innymi półwysep malajski i ponoć także Amerykę—i potrosze także Hiszpanię.

Człowiek nie może właściwie „odkryć” innej okolicy, jak własnej duszy. Może być bardzo „śmiałym podróżnikiem” i wogóle „dzielny” pod każdym względem, bo choćby „dotarł” tam, gdzie nikt przed nim nie był..., nie zobaczy, nie usłyszy, nie uczuje nic innego, prócz siebie. I o tyle nie śledzę z nadmierną ciekawością przebiegu wypraw inżyniersko-naukowych do tego lub owego najdalszego „punktu...”, bo myślę, że robią je ludzie, którzy odkrywają — cyfry.

Czytałem w ostatnim czasie Duńczyka Jana (nie jubilata Wilhelma, Niemca!) Jensena, także Anglika Hearn... Zacząłem ich czytać dla tego, że wypadkiem i chwilowo tęskniłem do egzotyczniejszych barw i klimatów. Ale byłbym ich stanowczo nie przeczytał, gdyby nie tylko ich „tematy”, ale także ich dusze nie były egzotyczne.

Jest dziwny urodzaj na utalentowanych Duńczyków—w ostatnich latach. Zauważyłem zresztą, że są dwa rodzaje: 1) dobrze wychowanych, 2) dzikich. Kategoria pierwsza usprawiedliwia najbardziej znany frazes o „Francuzach Północy”. Mają dobre maniery literackie. Nie mają przykrych naturalnych zapachów. Mają tak dalece „formę” i dobry smak, że robią złudzenie „zimnych”. Złudzenie. Charakterystyczny dla tej pierwszej kategorii jest np. młody debiutant (w Europie) Otton Rung, którego powieść „Ostatnia walka” (czy coś w tym guście) sprawiła mi dużo przyjemności, jako dobra robota.

Alte kochać się rzetelnie można raczej w drugiej kategorii, do której liczę np. opowiadania Jensena.

W tłumaczeniu (niemieckim) wyszedł dotychczas romans „Madame d'Ora” (który się dzieje niby w Ameryce) i wyszły nowele p. t. „Świat jest głęboki”.

Romans zrobił na mnie wrażenie, do którego szukałem napróżno jakiegoś pendant w dotychczas przeżytej przez siebie „literaturze”. Ma tak egzotyczną atmosferę duszy, że... mniejsza o tło amerykańskie. „Fabuła” brutalna, jaskrawa, prawie dla kucharek. Ale romans tak subtelny, o tak rzadkim zapachu, że nie można zapomnieć potem — nawet fabuły. Powiedziałbym, że ten romans jest wprost tryumfem artystycznej duszy nowoczesnej nad fabułą. Czego tam niema w tej t. zw. „treści”!

Uczony, który popełnił (albo nie popełnił? — naprężenie i wątpliwość trwają do końca i — dłużej, niż do końca) potworne morderstwo, seansy spirytystyczne, dytektywy *à la Conan Doyle*, kobieta, która dostaje najliteraturniejszej wścieklizny... *mein Lieben, was willst du noch mehr?*.. Lekceważenie „fabuły” objawia się w sposób dwojaki u dzisiejszych. Albo nie mają jej wcale, albo (żeby pokazać, jak jej nie potrzebują) biorą „pierwszą lepszą”, biorą pstrą, najwinnie kolorową, jak ulicznice. Imimo niej, a często i za pomocą niej demonstrow-

ują najnieuchwytniejsze, najgłębsze i najdelikatniejsze cuda psychiczne.

W romansie Jensena jest mnóstwo olśniewających, drobnych, kosztownych odkryć z czarnego kontynentu duszy. Dużo „nowych melodyi”, z których zręczniejsi przemysłowcy porobili pół tuzina „całospektaklowych” oper. A przedewszystkiem jest kobieta, wspomniana „Madame d'Ora”. Genialna w boskiej „nielogiczności” swych myśli, apetytów i uczuć... Godny korrelat czysto męskiego intelektu „bohatera”. Ale to, co „bierze”, jest naturalnie atmosfera, nastrój. Albo indywidualność Jensena, jego głos, sposób, temperament. Ta indywidualność potrzebuje niejako egzotyczności do dobrego humoru. Na szare, europejskie barwy „nie reaguje”. Na tle mieszczańskiej *familiendramy* ziewa. Cóż robić? Główna rzecz, żeby był w „dobrym humorze” i w tym humorze mógł nam dać siebie, więc szuka ciepłych i rzadkich kolorów po całym świecie geograficznym i psychicznym (tak, jak Schiller potrzebował do „natchnienia” sławnych zgniłych jabłek).

W nowelach Jensena (najpyszniejsza nazywa się „Lasy”) są kobiety malajskie, Hiszpanki, tygrysy i „dzikie kraje”. Kto czytał niektóre z nich, woła z entuzjazmem: „narodził się nam nowy, lepszy Kipling!” i dopiero zapuściwszy się bardziej w głąb Jensenowskich lasów, widzi, że „Kipling” jest tu niejako sprawą drugorzędną, sprawą toalety, skóry w najlepszym razie, a główną rzeczą jest wrażliwy koń arabski, który się zapuścił w tę kolorową okolicę i węchem, i okiem, i wszystkimi dziwnie szlachetnymi zmysłami używa niezwykłych sensacji i drży, i nieposiada się z używania. Jensen to typ „głodnego wrażeń”, przebiegły, boleśnię, chciwie „receptywny” Europejczyk. Cierpi, śmieje się, bluźni, waryjuje, błogosławi, przewraca koziolki... z nowych wrażeń. A właściwie te „nowe wrażenia” czerpie ciągle z siebie. Nie przyznaje się, ale czuje, że *de facto* jest ciągle w tej samej „okolicy”. To jego przekleństwo. Wlecząc z sobą Europę, mnóstwo „colli” najwstrętniej gryzących go problematów. Całuje gorące kwiaty, kobiety malajskie, kapie się w słońcu Sevilli, kupuje sobie piękną Dolores, ale wewnątrz, wewnątrz...

Anglicy są inni. Powiedziałbym — obiektywniejsi. Jak się przeczyta Kiplinga, zna się przedewszystkiem Indycę. Tak się przynajmniej zdaje — na pierwszy rzut oka. Anglicy mają dużo... powiedziałbym — wstydlivości. Kipling nie mówi o sobie... w każdym razie z mniejszym ogniem, niż n. p. o krokodylach. Stara się przedewszystkiem rzetelnie oddać świat, nastrój, życie — indyjskie. Nie ma pojęcia, że dżungla jego to — on. Woli być nudnym, niż fałszować obraz Indyi. I nie wie, że jest tylko dlatego tak ciekawym, iż nieświadomie, ale ustawicznie i wszystko — fałszuje. Pod tym (ale tylko pod tym względem) podobny jest także „odkrywca Ja-

ponii". Lefcadio Hearn jest nie tylko poetą, ale i wzruszająco sumiennym człowiekiem. Zaprzedał się ciałem i duszą swej roli japońskiej... i stara się całym zasobem swych świetnych artystycznych środków wmowić nam: „to nie ja... tylko Japonia“... Kocha Japonję. Przejął się jej stylem... i książki jego służą jej piękności. Książki jego to bogate malowanki, w których jest mnóstwo ślicznych cacek... żywych i martwych. Kwiaty i czarnowłose Gejsze, i małe kolorowe domki, i świątynie, i ulice, i ogródki, i misterne, fantastyczne sprząty. Wszystko miniaturowe, smutno i łagodnie uśmiechnięte, ciche, dyskretne, jak Japonja. Jak się ma taką książkę w domu, zdaje się, że się ma szkatułkę z mnóstwem dziwnych zabawek, czarodziejskich figli i różnobarwnych kamieni. To niejako strona optyczna. Ale pod idylliczną powierzchnią są różne nadspodziewane głębie... mistyczne ognie... różne zaczarowane ogrody uczuć i myśli. Pod powierzchnią jest niby także Japonja. Ale głównie świat poety Lefcadi Hearna. I to jest istotna treść osobliwych trzech książek, znanych mi niestety dopiero od niedawna, pod tytułem „Izumo“, „Lotos“ i „Kokoro“.

Wiedeń.

Tadeusz Rittner.



W Warszawskiej szkole fotograficznej.

Kilkodniowa wystawa prac, wykonanych w Warszawskiej Szkole Fotograficznej, zwróciła uwagę na tę instytucję wszystkich, którzy w umiejętności fotograficznej widzą sztukę przyszłości.

Od fotografii, w istocie, w ciągu ostatnich lat dziesięciu spodziewano się bardzo wiele, i z pewnością za wiele. Spodziewano się więc naprzód, że będzie ona najwierniejszym dokumentem natury, oddając wszystkie jej natury elementy: kształt, barwę, charakter i sentyment. Dotychczas się to nie sprawdziło. Barwna fotografia nie istnieje, pomimo wszelkich wysiłków i wszelkich postępów, na tem polu dokonanych. Spodziewano się dalej, że ta umiejętność, tak czysto reprodukcyjna i tak wiele zostawiająca do roboty samą siłą natury, wzniesie się na wysokość sztuki prawdziwej i zastąpi cały szereg procedur rysunkowych, „sangwinów“, „gwazdów“ i t. p.

Optymiści, rekrutowani głównie z grona malarzy, nie mogących przewidywać wstępu do regularnych studiów, wypowiadali głośno przekonanie, że fotografia zastąpi malarzowi sztukę rysowniczą.

I w tym kierunku fotografia pozostała jeszcze fotografia.

Skoro się jednak przegląda wyniki ostatnie postępów fotograficznych, nie sposób oprzeć się zdumie-



W retuszerni Warsz. Szkoły Fotograficznej.

niu, jak daleko jednak ta umiejętność posunęła się i jak wytrwale i zręcznie zbliża się, — mam ochotę powiedzieć „skrada się“ — do dziedziny istotnej sztuki.

Ks. Włodzimierz Kirchner, który w tej sztuce wykształcił się w Paryżu, założyciel Warszawskiej Szkoły Fotograficznej, obdarzył miasto nasze prawdziwie kulturalną instytucją. Nie tylko bowiem zaopatrzył ją we wszystkie środki techniki nowoczesnej,

ale umiał jeszcze przepoić ją bardzo wysokimi ambicjami, które są warunkiem koniecznym istotnego postępu.

I dzięki tej artystycznej atmosferze, panującej w tej szkole, a udzielającej się gościowi, zwiedzającemu wystawę, poczyną się przypuszczać, że może te marzenia entuzjastów sztuki fotograficznej znajdują się na drodze ku urzeczywistnieniu.

Pomiędzy wystawionymi fotografiami nie mało znajduje się takich, wobec których widz „gotówby przysiąc“, iż:

— To fotografowane z portretu.

A jednak nie. Ks. Kirchner spokojnie zapewnia nas, że to jest:

— Zdjęcie z natury.

— Dlaczegoż w takim razie zagubione są te wszystkie szczegóły, które nie charakteryzują postaci, ot, choćby guziki na surducie?

— Nowoczesna fotografia wywołuje z kliszy to tylko, co jest dla charakterystyki potrzebnem. Inne rzeczy gubi się na kliszy.

Oto jeden z sekretów, dzięki którym dobry fotograficzny portret, wykonany przez „artystę“, daje nam wrażenie, nasuwające na myśl akwafortę Rembrandta.

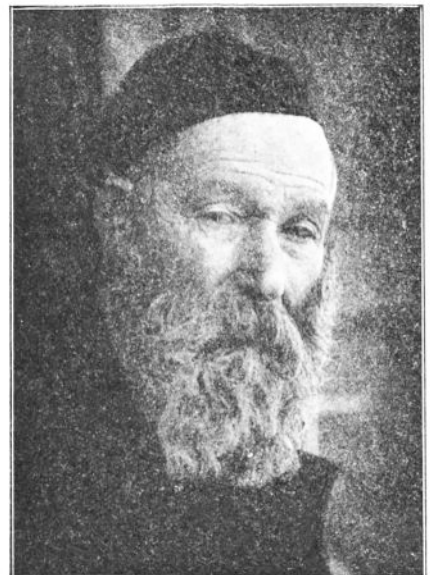
Istotnie, postępy uczynione przez nowoczesną fotografią, są olbrzymie.

A możemy być radzi i nawet wdzięczni ks. Kirchnerowi za to, że na tem polu poczynamy dotrzymywać kroku zagranicy.

Warszawska Szkoła Fotograficzna dopiero rok jeden funkcjonuje. Zorganizowana jest, jako prawdziwa szkoła, miejsce pracy i nauki, gdzie wprowadzie na praktykę i na laboratoryjny nacisk, jest główny nacisk, gdzie jednak techniczne wykształcenie oświetlone jest teorią nauk przyrodniczych, mających ze światłem związek, i nauki estetyki.



Laboratorium Warsz. Szkoły Fot.



„Głowa starca“.
Zdjęcie Warszawskiej Szkoły Fotograficznej.



Studjum portretowe.



Krajobraz zimowy.

Szkoła nie wypuściła jeszcze wykwalifikowanych zawodowców. I wcale się nie spieszy z wystawianiem świadectw. Tem lepiej. Przy skrupulatnem i dalekiem od spekulacyjnych celów traktowaniu swego zadania zdoła ona osiągnąć ten podwójny cel każdej szkoły, mianowicie, podnieść kulturę w kraju i zapewnić wychowaniem swoim dobrobyt i poważanie.

Pod tym względem młoda nasza szkoła fotograficzna stawia pierwsze kroki w sposób poważny, godny i na wszystkie pochwały zasługujący.

Demil.



Zapomnianej poetce.

Na cmentarzu łyżczakowskim we Lwowie stanął w tych dniach pomnik na grobie zapomnianej poetki, ś. p. Maryi Bartusówny, zmarłej przed dwudziestu kilku laty.

Marya Bartusówna była zdolną poetką, była artystką słowa i była gorącą, piękną, idealną duszą. Utwory jej nie straciły do dziś wartości i nie tracą jej zapewne nigdy. Są to liryki o szczerym, głębokim nastroju i szlachetnej formie. Oprócz tego była Marya Bartusówna nauczycielką. Żyła w nędzy i samotności, umarła — z nędzy. Zabił ją głód. Dogorywając z prostego wycieńczenia, ta młoda istota z przejmującą głębi rezygnacją wyciągała ręce ku nadchodzącej śmierci, którą witała ostatnim swym wierszem:

Przybliź się blada, przybliź się cicha,
Odsłoń swe lica, spokojem piękne,

Ludzkość cię cała z trwogą odpycha,
Ja się nie zlekne!

Chociaż nie wierzę, by twoja ręka
Do złotych niebios wiodła podwoi,
Wierzę, że w grobie ból już nie nęka,
Ciszą się koi...

Wierzę, że losu wściekłość bezsilna
Do walk daremnych tam już nie zbudzi
I że cieplejsza ziemia mogilna
Od serca ludzi!

Na opuszczonym grobie poetki stanął teraz dopiero znak pamięci ludzkiej. Równocześnie wydano o niej książkę i przygotowuje się wydanie najcenniejszych jej liryk. To ostatnie — o dwadzieścia pięć lat za późno.

Lwów.

I. Ł.



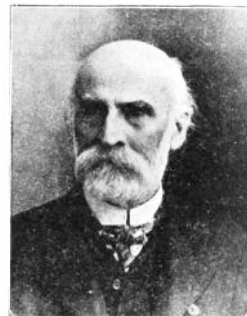
Pomnik Maryi Bartusówny we Lwowie.

Senior dziennikarzy polskich.

Najstarszy z dziennikarzy i publicystów polskich, sędziwy Platon Kostecki we Lwowie obchodził w tych dniach czterdziestopięciolecie pracy zawodowej. Przed 45 laty zasiadł Kostecki przy biurku redakcyjnym w „Gazecie Narodowej“ i dziś, po upływie blisko połowy wieku, w tej samej redakcji jest czynny. Fakt to niezwykłe rzadki, w dziejach nie tylko naszej publicystyki. Osoba tego nestora dziennikarstwa polskiego nabiera już przez to samo wyjątkowego znaczenia.

Na ileż zmian patrzył jubilat w tym długim okresie czasu od ery jeszcze przedpowstańczej, w iluż przeobrażeniach i zmianach historycznych brał udział, jako publicysta, z iluż ludźmi o nazwiskach znanych i głośnych wspólnie pracował! Jan Dobrzański, Zacharyasiewicz, Ujejski i wielu innych, to przyjaciele i towarzysze pracy Platona Kosteckiego. Rusin z pochodzenia, był zawsze jubilat ojczyzny tej jednym z najwierniejszych synów, był obywatelem i człowiekiem o gołębiej, czystej i podniosłej duszy. Dziennikarstwo otaczało też Kosteckiego cziłą i miłością przez wszystkie lata, a dziś, w 45-tą rocznicę pracy zawodowej, pospieszyło z serdecznym holdem i życzeniami, aby w dobrym zdrowiu i świeżości ducha doczekał złotych godów z umiłowanym zawodem.

Lwów. *I. Ł.*



Platon Kostecki.

Nasze premium bezpłatne.

Druga serya tegoroczna ALBUMU SZTUKI POLSKIEJ I OBCEJ, stanowiącego bezpłatne premium dla naszych czytelników, jest już gotowa.

Prenumeratorzy miejscy mogą odbierać ją w administracji „Świata“ w godzinach biurowych.

Prowincjonalni abonenci nasi otrzymają ALBUM pocztą wraz z Nr. 47 naszego pisma. Uprzedzamy ich o tem obecnie, aby zapewnić im tem rychlejszy a niezawodny odbiór premium naszego, dodając przytem, iż uczynią dobrze, gdy zechcą dopilnować tej sprawy na najbliższej im stacyi pocztowej.

Zdarza się bowiem, i to zbyt często, że ALBUM ginie w drodze, bez żadnej winy ze strony ekspedycji „Świata“.

Skoro więc który z prenumeratorów naszych nie otrzyma wraz z Nr. 47 ALBUMU, i to w całości, a więc ośmiu plansz osobnych, (co należy sprawdzić, bo bywa, że i osobne plansze giną) należy o tem w jak najkrótszym czasie zawiadomić naszą administrację.

ALBUM, które ofiarujemy, jako drugi numer tego wydawnictwa w bezpłatnym upominku czytelnikom „Świata“, dobrane zostało ze starannością i zwiększoną troską naszą głównie o to, aby spopularyzować w artystycznych reprodukcjach wybitne dzieła sztuki polskiej.

W ALBUMIE odnajdą czytelnicy przede wszystkim cenną pamiątkę po nieodżałowanej pamięci Władysławie Podkowińskim: „Tancerkę“, na rok przed śmiercią twórcy rzuconą na płótno,—barwny i wesoły „gest“, odbijający tak mocnym kontrastem od nastroju artysty, który wkrótce „padł śród zawodu“.

Charakterystyczna „Rusinka“ Axentowicza, barwni „Krakowiacy“ Juliana Fałata, znakomite dzieło: „Macierzyństwo“ Wyspiańskiego i dekoracyjny, ludowy i polski tryptyk Sichulskiego, powiedzą czytelnikom, ile zabiegów wkładamy w to, aby w ALBUMIE sztuka współczesna reprezentowaną była w bogaty, charakterystyczny a pouczający sposób.

Z historii sztuki polskiej dajemy „Utarczkę“ Michałowskiego (1801—1855), który stanowi ogniwo, wiążące Orłowskiego i Suchodolskiego z późniejszymi i współczesnymi naszymi batalistami.

Zagraniczne szkoły reprezentowane są w ALBUMIE przez piękne „studium portretowe“ irlandczyka Johna Lavery i malowniczy „Motyw z Pragi czeskiej“ Wacława Jansy.

Krótkie a treściwe objaśnienia, które dołączamy do ALBUMU, mają na celu poznanie czytelników z twórcami dzieł.

KONSTANTY M. GÓRSKI.

BIBLIOMAN.

Piękna ta nowela, nagrodzona na konkursie krakowskiego „Czasu“, dotychczas z powodów cenzuralnych nie mogła być dostępną szerszym kółom naszych czytelników.

I.

Był niski, stary i zgarbiony. Miał na sobie paltot zzieleniały, obszarpane spodnie, z pod których wydobywały się za duże buty, o końcach zakrzywionych, jak dzioby okrętów. Przed trzema laty, w kwietniu, wydrapał się na górę aż do józef-polskiego pałacu i chodził rankiem dookoła gmachu, wodząc po murach oczyma. Stawał parę razy przed drzwiami z napisem „zarząd dóbr książęcych“, ale nie wszedł i krążył dalej, trzymając ręce w kieszeniach. Wózny wychylił się nareszcie z niskich drzwiczek i chciał go odprawić, jak włóczęgę. Ale staruszek upierał się, że ma interes do pana bibliotekarza.

Pan bibliotekarz nazywał się Gościszewski. Siedział już od kilku lat w tem pustkowiu i korzystał z wezasa, z bogatego archiwum, aby naukowo pracować. Inni, starsi od

niego, nie mogli się oswoić z zupełną samotnością pałacu, ani ze smutkiem gór czarnych, obrośniętych świerkami. Gościszewski wytrzymał, bo miał plan i przyszłość przed sobą. Pisał obszerne dzieło, studium historyczno-obyczajowe z końca XVIII stulecia p. t. „Stanisław August i Łazienki“. Wymówił sobie u właściciela Józefpola, że z dniem, w którym skończy pracę, opuści stanowisko i powróci do Lwowa, gdzie mu obiecywano katedrę na uniwersytecie. Książę, zmuszony przebywać zagranicą dla zdrowia, przyjął ten warunek; dbał bowiem o to, aby jego biblioteka przydała się w jakikolwiek bądź sposób krajowi i skłaniał się do wszelkich ustępstw i ułatwień. Książka Gościszewskiego była już doprowadzona do połowy. Tego ranka przeglądał autor dawniej napisane rozdziały, czytał je, jak rzecz po części zapomnianą, prawie obcą i, zakre-

ślając coś tu i owdzie ołówkiem, doznawał pewnego wewnętrznego ciepła, nieśmiałego zadowolenia z pracy.

Naraz wręczył mu wózny kartę wizytową z napisem: „Leonard Sztremer“ oraz parę broszur, które staruszek dodał, jako polecenie. Były to jego własne elukubracye, kupa książeczek w różnobarwnych, wypłowiałych okładkach, drukowanych na szarawej bibule. I to gdzie! w Sanoku, w Wadowicach, w Rzeszowie; dwie tylko nosiły napis: Paryż. Gościszewski wziął je do ręki, zrazu się uśmiechnął, ale potem cmoknął ustami w niesmaku i zniecierpliwieniu. Bo jakież to były tytuły!

„Pogański grób z epoki kamiennej, odkopany pod Buczaczem przez L. S.“

„Najstarsze polskie druki, zagrabione lub zniszczone przez Moskwę.“

„Nieco wiadomości o Litwie, zaczerpniętych z ustnej tradycyi wierznych synów Polsko-Litwy.“

„Czy Moskale są Tatarami? Napisał Słowianin.“

„Emigracya polska i jej wszechświatowa misya.“

„Kilka uwag o znaczeniu Polski w przyszłych ludzkości dziejach“.

Młody uczony zniecierpliwiał się tą literaturą drobiazgową, archeologiczną, pełną dziwacznej historyzofii. Pod okładkami przeczuwał z góry mnogość frazesów i wszelki brak naukowych faktów. Otworzył jedną z broszur i natrafił na ustęp, w którym się autor powoływał na mowę Fenicyan i na hittyjskie plemiona.

Potrząsł głową i wziął broszurę w rękę, jak gdyby chciał je zważyć. Po chwili jednak wstał od stołu i kazał poprosić pana Sztremera.

Ten zaś wszedł szybko i stanął przy drzwiach. Gościszewski nie potrzebował go mierzyć wzrokiem, bo staruszek był tak nieśmiało i pokornie zgarbiony, że obejmowało się go jednym spojrzeniem.

— Czy pan dobrodziej pragnie korzystać z biblioteki?

Sztremer skinął głową.

— Książę jest nieobecny, ale polecił mi dopomagać każdemu, kto istotnie naukowo pracuje. Mikołaju, podaj panu krzesło. Czem mogę służyć?

— Ja... szukam rzadkiego druku z XVIII wieku.

— A jaki tytuł?

— Tytułu nie znam, tylko treść i datę wydania: Sandomierz, 1794.

— Więc jakże pan będzie szukał?

— Proszę o pozwolenie przejrzienia wszystkich druków z XVIII stulecia.

— Wszystkich?

— Tak, bo mogłoby być, że broszurę oprawiono razem z innym drukiem.

Gościszewski spojrzał znowu na starca, na jego sinawe, zaleknione oczy, tak blade, jak gdyby z nich dawną barwę zmyto wodą, splukano. Pomyślał w duchu, że ten dziwny gość gotów umrzeć, zanim wszystkie książki przerzuci. Jakieś współczucie, ulitowanie ostrzegło go, że lepiej już nie pytać. Odpowiedział więc:

— Mikołaj będzie panu podawał książki kolejną.

Potem usadowił starca w przyległym pokoju pod oknem, przy wielkim, białym, bibliotecznym stole. Otworzył drzwi od swego gabinetu, kiwnął na woźnego i szepnął mu do ucha:

— Niech no Mikołaj uważa, czy stary czego nie chowa do kieszeni.

Sam wrócił do pracy, ale mu jakoś nie szło. Woźny kręcił się ciągle, przynosząc i odnosząc stosy książek, a miał skrzypiące buty. Sztremer brał każdy tomik do ręki, przybliżał go do twarzy, jak czynią krótkowidzowie, czasem przymrużał jedno oko, wertował zwykle stronicę

po stronicę, ale nie czytał. Potem metodycznie odkładał książkę na bok.

Kiedy wybiła dwunasta, Gościszewski wstał i wszedł do drugiego pokoju.

— Panie Sztremer—rzekł—musimy przerwać. I ja, i woźny idziemy na obiad, ale będziemy tu o trzeciej. Książę przeznaczył w pałacu dwa pokoje dla gości, którzy pracują w bibliotece; może się pan tu zainstaluje po południu.

— Dziękuję panu, nająłem stancję w karczmie.

— A może — dodał bibliotekarz mniej śmiało — możeby pan ze mną zjadł obiad?

— Dziękuję raz jeszcze, najpokorniej. Ja przyzwyczajony do karczem.

— To pan już dawno tak jeździ po bibliotekach?

— O, bardzo dawno.

Gościszewski zaryzykował jeszcze jedno pytanie:

— A czy nie wolno spytać, czego pan szuka?

— Da Pan Bóg, że znajdę, to pokażę, panie bibliotekarzu. Jak mi Bóg miły, chociażbym pana miał w nocy zbudzić, to zaraz pokażę.

— Ale pan nie będzie tu mógł nocą pracować. Książę nie pozwala, boimy się ognia.

— Wiem, wiem; tu jest porządek.

Gościszewskiemu zdawało się, że zrobił czemś przykrość Sztremerowi, bo oczy skryły mu się pod zmarszczkami czoła. Starzec poprawił palcami długie, siwe, w tył spadające włosy, wskazał woźnemu książki, które może odnieść, i wyszedł z kapeluszem i teczką w rękę, ukłoniwszy się głową.

Mikołaj zdał wtedy raport, że gość nic do kieszeni nie chowa. i -

Bibliotekarz stanął zaś przy oknie i patrzył chwilę w dzień szarawy i smutny. Pałac józefpolski stoi na górze, na ostatniem północnem odroślu Beskidu. Gościszewski widział z narożnego okna, jak się mgławicę wloką po szczytach i rozdzierają o świerki. Poniżej chmur stoki były ciemne, ponuro-błękitne, niemal szafirowe. Dalsze szczyty zginęły zupełnie, padał drobny, powolny deszczyk. Do osady, leżącej już na równinie, prowadzi z wyżyn gościniec, w pogodne dni lśniący-biały, dziś szary. Z za drzew wystawała czerwono malowana sygnaturka kościoła w Józefpolu i trochę dachu karczmy, smarowanego smółcem. Po gościniecu, bez parasola, szedł w wielkich butach Sztremer. Zakasał spodnie tak wysoko, że wyglądały mu żółte cholewy. Podniósł kołnierz paltota i szybko schodził do wsi.

II.

Gościszewski nie miał od dawna towarzystwa, nie widywał prawie ludzkiego oblicza. Co parę tygodni zdarzyła się partya wista u proboszcza, na dole w Józefpolu, ale partnerzy nie zawsze mu byli do smaku. W bibliotece nikt nigdy nie pracował, Sztremer był pierwszym gościem tego rodzaju. Kiedy się staruszek zabierał wieczorem do siebie, bibliotekarz miał w nieraz ochotę wybieść za nim, zatrzymać go, pogadać. Nie chciał się jednak narazić na odmowę, na jakie dziwactwo z jego strony. Zaczął sobie powtarzać, że i on sam musiał zdziżyć na pustkowiu, że nie potrafiłby już może starego ośwoić, rozruszać, pozyskać jego zaufania. Wmawiał w siebie, że dla nich obydwóch będzie najlepiej, jeżeli tych kilka dni przepędzą obok siebie, ale nie ze sobą, i poprzestaną na urzędowych stosunkach. Liczył, że tydzień powinien Sztremerowi wystarczyć i czekał niemal jego wyjazdu.

Robota szła mu tymczasem niedokładnie, jak sądził, dla tego, że odwykł od pisania wśród ruchu i szalestu papierów. Na prawdę zaś przeszkadzał mu gość dlatego, że go zaciekał. Co chwila wstawał bibliotekarz od biurka i szedł niby do okna. Przez drzwi otwarte mógł wtedy rzucić okiem na starca. Ale on nie podnosił żrenić z książki i przeglądał ją dalej z jakąś niepokojącą dokładnością automatu. Gościszewskiego drażniła ta obojętność. Gniewała go ta ufna pilność, ten badawczy upór, sam bowiem doszedł był w pisaniu do tego stadyum, gdzie już gorączka opada, gdzie się nie materyałów, ale poglądów i wyrazów szuka.

Sztremer był, jak maszyna. Zjawiał się co rano, znikał z uderzeniem dwunastej, wracał potem o trzeciej i pracował do zmroku. Gościszewski, sam spokojny i twardy z natury, zazdrościł jednak temu człowiekowi, który w miejscu nerwów miał jedynie wolę. Wieczorem schodził zwykłe bibliotekarz do wsi na przechadzkę. Zaciekała go teraz żółta karczma pod czarnym, lśniącym dachem i musiał ze sobą walczyć, aby przez blado oświecone okna nie zajrzeć do izby, gdzie według jego przypuszczeń staruszek stanął kwatery. Raz—było to na czwartym wieczór od jego przyjazdu—spotkali się naraz koło karczmy. Mrok był silny i ledwo że nie wpadli na siebie. Musieli się przywitać i, sami nie wiedząc jak, podali sobie ręce. Gościszewski zakłopotał się chwilę i wybąknął, że idzie z listami na pocztę. Starzec nie odrzekł nic, ale mechanicznie zwrócił się i dotrzymywał kroku młodemu. Niebo było górą

zupełnie czyste, podobne do błękit-niejacej, gładkiej, rozpiętej nad świa-tem opony. Tu i owdzie znać było na niej, jakby przekłócie szpilką i trochę bladego promiennego złota przedostawało się przez otwór; gwiazdy drgały.

Skoro mu Sztremer towarzyszył, miał Gościszewski prawo nawiązać rozmowę.

— I cóż, jakiż rezultat pańskich poszukiwań?

— Dotąd żadnego. Ale kto wie? Taka wspaniała biblioteka!

— Nieprawda? — podchwycił Gościszewski. — Można dużo odkryć i jest nad czym pracować.

— I pan też pewno coś pisze?

Książka leżała uczonemu tak długo na sercu, od tak dawna nie mówił z nikim o niej, że chociaż czuł, że go Sztremer tylko pozornie zrozumie, zaczął opowiadać jej treść i wdał się w cały wykład o XVIII stuleciu. Stary słuchał, nie objawiał zdania, tylko przypominał różne źródła, odnoszące się do pracy. Gościszewski przekonał się, że jego towarzysz zna wybornie epokę i zaczął na niego patrzeć uważniej z boku, a że był słusznego wzrostu, i z góry. Twarz Sztremera nie okazywała żadnego silniejszego ożywienia. Pytał spokojnie o ten lub ów pamiętnik, znał nie tylko druki, ale i rękopisy, widział był architektoniczne plany łazienkowskiego pałacu, pamiętał niektóre cyfry z kosztorysu. Zaczął wspominać manuskrypta w muzeum Czartoryskich i w Ossolineum. Potem rzekł:

— A zna pan także warszawskie biblioteki?

— Szperałem w nich dość dużo. Siedziałem umyślnie parę miesięcy w Warszawie.

— A widzisz pan, a widzisz pan. Mnie tam nie puszcza.

— Pan dobrodziej pewno emigrant?

— Z 48-go roku.

I Sztremer dodał po chwili namyslenia:

— A widzisz pan. Pan może dużo wydobyć, dużo jeszcze dobrych rzeczy napisać. Czytałem pańskie dawne prace. I ma pan dużo lat przed sobą. Dużo wiedzy i — metodę.

To ostatnie słowo wymówił z namaszczeniem, jakby jaką rytualną formułę, Gościszewskiemu zaś rozradowało się serce. Nie był zarozumiałą i lekceważył sobie własną wiedzę, własne dotychczasowe roboty, ale jedna rzecz napawała go dumą: poczucie gruntownej metody. Zachwyciło go to, że nawet autor dyktanek broszur ma dla niej cześć należną. Przyciszył głos, bo-

jąc się, że mu wybuchnie i starał się rzecz obojętnie:

— Kończyłem nauki w Lipsku.

— Ja, widzisz pan — mówił Sztremer — jestem samouk. Tyle tylko, że zawsze szperał i nasłuchiwał się wiele na emigracji, od starszych. Kogo tam nie było za moich czasów w Paryżu! Znałem najbliższych Niemcewiczowi, i ks. Adama, i Mickiewicza, i...

Tu urwał, a Gościszewskiemu przyszedł na myśl, nie wiedzieć dla czego, Towiański.

— Zawsze mdbał o przeszłość — mówił po chwili. — To, widzisz pan, jest cała moja metoda.

Nie mówili już więcej, bo bibliotekarz czuł, że gdyby rozmowa szła dalej, możeby, w tę noc coraz piękniejszą, obydwaj powiedzieli za wiele. Ostrzegając go jakaś wewnętrzna trwoga, że istnieją sprawy, wobec których przestaliby się rozumieć. Nie chciał zniszczyć od razu rodzając się wreszcie ufności. Doszli z powrotem do karekmy i podali sobie znów ręce, mówiąc to jedno słowo: „dobranoc“.

Gościszewski zaczął iść wolno pod górę do pałacu, którego kominy bielejące wychylały się z ciemnych drzew ogrodu. Mgła wieczoru opadała i dach dużego gmachu zaczął się lśnić w srebrne i tęczowe polyski. Bo księżyc pełny wyszedł z za rudawych mgławic i rozświecił się niebawem tak jasno, że promyki gwiazd pochowały się znowu przy nim i wydawało się, że idzie po wielkiem niebie samotny.

DCN

Aforyzmy.

Pocałunek jest, jak akwaforta: im dalsza z kolei odbliska, tem mniej jest warta.

Poezja, jak ogień, tkwi we wszystkim, co jest, czy było kiedykolwiek żyć: i w suchym badylu, i w skrzydłach motyli. Aby go zapalić, nie trzeba więcej nad iskrę... talentu.

Mi-Po.



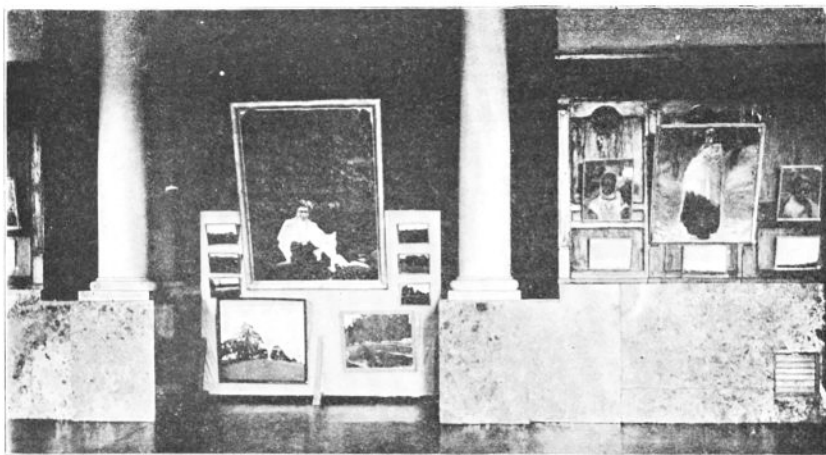
Pałac hr. Tyszkiewiczów w Wilnie, w którym mieści się wystawa prac uczniów Warsz. Szkoły Sztuk Pięknych.

Wystawa Warsz. Szkoły Sztuk Pięknych w Wilnie.

Ściągnęła ich tu cała gromada w czerwcu jeszcze. Prawdziwa działwa Apellesa: w stroju niedbałym, w pelerynach okropnych, bandyckich kapeluszach, z pałami w rękę, aż strach. Normalny wilnianin z niepokojem spoglądał na te postaci „nie tutejsze“, kręcące się po ulicach spokojnego miasta, na dziw jego ogromny. Anarchiści, czy co? — pytał szepem poważny mieszczanin i spieszył przeprowadzić na drugą stronę ulicy swą dorodną córkę. Wiadomo, czasy są niepewne...

Na szczęście nie wzbudzający zaufania przybysze znikli równie nagle, jak ukazali się w Wilnie. Uczniowie warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych — oni to bowiem byli tymi na pozór niebezpiecznymi gośćmi — podążyli do uroczych Werek, gdzie w t. zw. Jeruzalimce założyli komunę.

Mówię komunę, wiadomo bowiem, iż gospodarstwo kilkudziesięciu młodych dusz, służących sztuce, a spragnionych słońca, z natury rzeczy musiało mieć charakter wspólnoty wszelakich rzeczy, materialnych przynajmniej. Zresztą, jak słyszę, pocztowa ludność miejscowa potrafiła eksploatować niepraktycznych letników, którzy wśród innych wspomnień wywieźli też wspomnienie litewskiej drożyzny!..



Wystawa prac uczniów Warsz. Szkoły Sztuk Pięknych w Wilnie.

To była jedna ciemna strona malarskiej wyprawy uczniów prof. Krzyżanowskiego, pod jego wodzą przedsięwziętej; drugą stanowiła—słota. Naprawdę, nie trzeba mieć szczęścia. Jadą ludzie 400 wiorst, aż het nad brzegi Wilii, na studia *plain'air'u*, po to, by ich w ciągu dziesięciu tygodni zalewał deszcz i deszcz... I to deszcz w Werkach!.. U dołu Wilia, śród wzgórz, jezior i stawów dwudziestu, a w dodatku strugi z nieba—to już za wiele wody, przynajmniej. Mokre więc były to studia z początku.

Na szczęście wrzesień uśmiechnął się pogodny i taki ciepły, jakby przebaczać chciał ludzi za wszystkie grzechy lata. On uratował los wyprawy. Wreszcie można było malować, ile wlezie, w plainairze i bez plainairu. Malowano też od świtu do wieczora: ludzi, krowy, drzewa, pejzaże... najwięcej pejzaże, boć dookoła z precudownych widoków złożone są Werki: całe w górach, dolinach, wąwozach, wstęgą Wilii przezniesione, wstęgą, wijącą się przedziwnie, tajemniczo, sennie.

I z malowania tego powstały setki studyów, szkiców, obrazów, ciekawych bardzo. Trochę nagiętych jeszcze do żądań profesora, trochę odbijających jeszcze jego sposób, ale już zdradzających też często indywidualność malarską, budzącą się do samoistnego tworzenia i szukającą dróg własnych.

Studia te, gdy chłód późnej jesieni odwrót z Werki nakazał, przewieziono do Wilna i uczyniono z nich wystawę. Hr. Tyszkiewiczowa uprzejmie udzieliła na ten cel pięknego westibulu w swym pałacu na rogu Antokolskiej i Nadbrzeżnej, jeden z uczniów Szkoły, p. Andrzejewski, *kropnął* wspaniałe plakaty, obrazki oprawiono i rozwieszono ładnie na tle marmurów i stiuków i—wystawa gotowa.

Sympatycznie powitało ją Wilno, choć znawców malarstwa tu mało. Każdy był ciekaw plonu tej artystycznej młodzieży. Jakoż plon okazał się obfitym, czas w Werkach nie straconym. Malowanie na powietrzu, w naturalnym świetle słonecznym, pogłębiło umiejętność patrzenia i odczuwania tonów, barw. Młodzi artyści stanęli oko w oko z naturą i stąd dali nam rzeczy, pełne niezwykłej świeżości. Niektóre z nich—to jeszcze próby, ale już nie szablonowe, żywe.

Pokazało się, że śród „uczniów” są już prawie skończeni artyści. Wilnianie, w niedzielę szczególnie, licznie dążyli na wystawę, wychodzili zainteresowani i znów wracali. Na ramach płócien zaroily się napisy „kupione”, imiona młodych twórców przedostały się do prasy miejscowej i szerokiej publiczności. Szczególniejszą zwróciły uwagę widoki profesorowej Krzyżanowskiej i pań: Lipszycówny, Sztolemańówny i Bagnickiej; z dzieł mężczyzn zaś prace pp.: Andrzejewskiego, Baranowskiego, Kantora i Rychtarskiego. Widzieliśmy

i parę płócien samego prof. Krzyżanowskiego—oczywiście *hors concours*. Wystawa trwa jeszcze, choć uczniowie Szkoły warszawskiej pociągnęli już na zimowe leże po tem lecie, przepracowaniem sumiennie.

Wilno.

W. B.

Sukces ministra-polaka.

Przed forum parlamentu austriackiego minister skarbu, dr. Witold Korytowski, zdobył sukces, jakim dotąd żaden z jego poprzedników nie mógł się poszczycić: zamykając gospodarkę państwa za rok ubiegły, wykazał 146 milionów koron przewyżki dochodów nad rozchodami.



Dr. Witold Korytowski.

Rok temu dr. Korytowski wywołał powszechny poklask, niosąc Austrii w darze przewyżkę 52 milionów. Obecnie potroił tę cyfrę. *Exposé* ministra Korytowskiego stało się też sensacją dnia i uzyskało gratulacje i uznanie wszystkich grup parlamentarnych i całej prasy austriackiej, która zgodnie zaznacza, że ten znakomity wynik gospodarki finansowej ministra-polaka podnosi ogromnie znaczenie monarchii także na zewnątrz pod względem państwowo-politycznym. Olbrzymia nadwyżka użyta zostaje głównie na dalsze wkłady gospodarcze i kulturalne.



„Szalejące finanse“.

Przed dwoma laty niejaki Thomas Lawson, bankier, agent giełdowy i publicysta w Bostonie, przepowiadał z całą dokładnością pogrom, jaki dotknął obecnie tysiące osób z powodu krachu magnata miedzianego, Heinzege. Wzywał on wtedy do utworzenia syndykatu z kapitałem 50.000.000 dolarów w celu spro-

wadzenia niżki w akcyach miedzianych. Głos jego przyjęto, jako głos ideologa. Dziś skutki wskazują, iż nie tylko polak mądry bywa po szkodzie.

Walka potworna, gigantyczna toczyła się całe lata pomiędzy dwoma multimilionerami, Heinzem i Rockefellerem, królami miedzianymi. W walce tej nawet prawo ze swemi niezłomnymi paragrafami staje się miękkim narzędziem milionerów: waha się i odmienia swe brzmienie—w tę lub ową stronę, względnie do zabiegów dwojga walczących potentatów.

Obie strony przeprowadziły 120 procesów, przekupując trybunały, sędziów, prasę, wyborców, fałszując dokumenty; przekupstwo doszło do granic, o których stara Europa nie śni w swych najśmielszych „snach o potęgę“.

Ale królowie miedzianych mają nie tylko serca i wolę z miedzi... Walczono o hegemonię, o całe królestwo niepodzielne miedzi, walczono na śmierć i życie—milionów. Wreszcie Rockefeller, wydawszy na cele walki 9 milionów dolarów, pokonał przeciwnika. Oto obniżył cenę miedzi i tem podkopał wypłacalność Heinzege. Lawina ruszyła z miejsca. Nastąpił krach, jeden z największych, jakie wstrząsały państwem Mammona, a który, jak zwykle, największe szczyby poczynił śród łatwowiernych prostaczków.

Walka ta i krach ten na obszarach Nowego Świata wskazują dowodnie na anormalność stosunków ekonomicznych, na przełgnięcie struny kapitalizmu, na anomalie trustów amerykańskich.

Przyszłość zgotuje nie jedną jeszcze na tem polu ponurą niespodziankę. *Sef.*



Konkursowa Wystawa w Moskwie.

Komitet Towarzystwa miłośników sztuk pięknych w Moskwie urządza w lokalu Towarzystwa XXVII Wystawę obrazów z konkursem malarskim, która trwać będzie od 2 Grudnia, 1907, do 6-go Stycznia, 1908 r.

Dziela winny być nadesłane kosztem autorów, przy stosownej deklaracji, na 10 Listopada starego stylu do starego lokalu Towarzystwa (Małaja Dmitrowkaja, dom grafini Wasiljewoj-Szylowskiej). Szczegółowe warunki mogą być przejrzane w kancelarii Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.



Tłumy, oblegające banki po krachu miedzianym Heinzege w Ameryce.



Kasyno w Monte-Carlo.

Przed sezonem w Monte-Carlo.

IMPRESYA.

Świat milionerów i świat szyku powiedział sobie: „Nie jeździ się w lecie na Riwierę”. I ogół usłuchał. Nie jeździ się, bo nie ma sezonu, bo nie warto. Twój automobil na białej drodze z Monte Carlo do Mentony przemknie niepostrzeżenie. Palm zadumanych, zaklętych w ciszę wielką, nie zadziwi... Ledwo się poruszają liście oleandrów w kwieciu różowem i znów usną, by śnić swój sen o pieszczotach błękitnej wody...

Ani się zaroją promenady, drogi kwietne, ogrody zielone, od modnych „kioszów”, rozkołysanych na pięknych głowach kobiet, niby kwietne ogrody, niby klomby bogate...

Ogrody Kasyna, tarasy hotelowe, białe drogi, nie dzwonią wdzięczną, wielojęzyczną gwarą kosmopolisu, kiedy to fale pustoty, próżności wielkosiłowej, a jednocześnie wielkiego, szalonego wesela, uciechy z życia, owego *joie de vivre*, przyrodzonego dzieciom Południa, szumią, jak morze wezbrane.

Wszędzie cisza, zaduma, śnienie jasných brzegów i szafirowego morza, i skał zębatych, i palm nieruchomych, — jakies *Oczekiwanie*...

Zatoka cicha, od Cap-Martin począwszy aż do małej wysepki Sainte Marguerite, drży w słońcu, jak promień szafirowo-srebrny. Czasem ją musnie w dół, na horyzoncie, białe skrzydło łodzi rybackiej, rozplywającej się wnet w bezkresie świetlanym. Zresztą jest dziewiczą, niepokalaną, śniąca, jak dusza w ekstazie.

Uśmiech szczęścia, przedziwnie jasny i dobry, rozlany w powietrzu. Uśmiech tak radosny, tak błogosławiony, że rozprasza melancholię cmentarzy, rozślaną na zboczach wzgórz, wabiących ciemnym kwieciami. Twarze skażonych, wdychających w siebie resztkami płuc chorych pachnące powietrze, nabierają nawet w tem słońcu radosnem i złotem refleksów dobroci i spokoju... *La vie vaut, qu'on la vive!*

Wieczny ranek, wieczne lato, wieczna pogoda, wieczne wesele.

A może i to złudzenie, jedno więcej?

Może za deskami zabitego sklepu stoi bankructwo, nędra i rozpacz, może kędyś płacze nad dolą rodziny dymisyonowany na lato kelner hotelowy, może kwaciarka na rogu ulic, z bładym uśmiechem podająca przechodniom pęki róż i stopy fig ciemnych, popękanych od żaru słońca, przeklina nikczemne czasy? Może to, co dla jednych jest urokiem przedsezonowym, dla drugich jest niedolą i klęską?

Ach, zapomnieć, zapomnieć! Carpe diem!

...Leciuchno podzwania uprząż koni, unoszących lekki powóz drogą cudną, jedną z najpiękniejszych na świecie. La grande Corniche! Jest się zawieszonym kędyś, ponad morzem nieruchomem, wśród dolin i gór tajemniczych. Droga falująca, kamiennym murem okolona ponad przepaścią od strony morza, a z prawej ukazująca najprzepyszniejszą panoramę Alp śnieżnych, zrumienionych zachodem, biegnie podobno ku Nicei, zresztą, wszystko jedno, jaki jej kres.

Jeśli się przestało wierzyć w Piękno, tu poczyna się w nie wierzyć...

...Szedł wieczer. Góry otuliły się w wolny mgieł siwych, morze zgasło. Powoli wstawał księżyc i na tafli matowej, płynąc w górę, znać światłą drogę. Jak konstelacja gwiazd, skracających w dół, o całe piętra niżej, zapalało się milionami światel Monte Carlo...

Na tle ciemnego morza, niby na tle nieba bezkresnego, drgały światła nieprzeliczone, — oczy gwiazd, porozumiewających się między sobą tajemnem mruganiem. Cisza leżała w dole.

A jednak, w tej samej chwili, wśród powodzi światel nieruchomych, w ciemności tajemniczych ogrodów Kasyna rozgrywa się drama ludzkie, przestawiają egzystencję i wierzenia, ganie zapal, rodzi się gorycz zwątpień, przewalają się, jak fale wzburzonego oceanu, najszałensze namiętności i żądze. Jednak nieprzerwanie dźwięczy szmer białej galki, tańczącej swój taniec życia i śmierci, nadziei i rozpacz na kręgu cyfr tajemniczych.

Kasyn w Monte-Carlo, owa „świętynia przypadku”, jak ją nazywa Maeterlinck, to wśród wszystkich zagadek świata, wśród gwiazd dalekości i głębi mórz, jakby wyraźny symbol tej tajemnicy, zagadki, która zwie się *Przeznaczeniem* i niezbadana, despotyczna, nieubłagana, rządzi ludźmi. Wechodzi się po marmurowych schodach z niezłomną wiarą: to ja będę tym wybranym! Do mnie się uśmiechnie szczęście w postaci krąków złotych!

Każdy tak czuje, bo duch ludzki wierzy, nie zdając sobie z tego sprawy, umierając z żalu, wierzy jeszcze...

...Lekko, jednostajnie podzwania uprząż koni, biegnących wijącą się w górach drogą.

W dole małe, śmieszne, a potężne państwo Monaco! Operetkowe książe! Szereg armat bronzowych, wycofanych z obiegu, groźnie zwróconych ku morzu! Lili-pucia gwardya ze srogimi minami starych kapralów, zasłużonych w wojnach! Takie to nędzne, karykaturalne, a jednak wabiące ludzi magnetyczną siłą, — istniejące dzięki przebiegłości białej kulki, co tajemnicy swej nie wyda nigdy, za żadną cenę...

Brzmi nieprzerwanie symfonia ludzkich namiętności w brzęku złota, w szeleście papierków tęczowych, w turkocie białej kulki, w nerwowym śmiechu kobiet.

...Od gór szły przedko gęste cienie nocy, w dole część światel pogasała. „Świątynia przypadku” zamknęła swoje podwoje. Na białych ścieżkach ogrodów zamajaczyły ciemne sylwety croupierów, wracających grupami do domu.

Powóz szybko zjeżdżał na dół, do Monte-Carlo. Coraz cieplejszy oddech morza, z wonią róż niewidzialnych, owiewał twarz, ramiona. Ostatni pociąg, bez szmeru, zda się, płynąc samem brzegiem morza ze swą nieskończonością okien oświetlonych, za którymi migały ciemne sylwety graczy, biegnąc ku Nicei, wpadł w czeluście tunelu.

Dziwny zaiste jest spokój wieczorny tej miściny, której nazwę usta po części wymawiają ze drżeniem.

Gdzie gorączka złota? Gdzie żar krwi? Gdzie żądze szalone użycia, rozkoszy? Gdzie namiętności wizye zdradzieckie?

...Wiatrem zlekka całowane w blade usta, ścielę się na marmurową cysternę kwiaty magnoli...

Palmy zadumane milczą po kwiatnych rabatach.

Taki jest wieczór w „krajnie uludy”, tam, gdzie króluję mocarz bogaty — Casino w Monte-Carlo.

Taki jest wieczór tam, gdzie za chwilę uludy, za chwilę nadziei, drogo płacić trzeba, czasem życiem...

Kładę na numerze 34 monetę srebrną. Co to znaczy? To znaczy: płacę z góry. Płacę za możliwość zajrzenia szczęściu w oczy, płacę za zwodniczy powab złota, płacę za złudzenie, płacę za wiarę, że moje zwątpienia i porażki dotychczasowe — to smutny sen tylko.

Turkocze siwa galka, płaś na kręgu cyfr, jakby to była zabawka, jakby umyślnie chciała drażnić oczy niecierpliwie. Przedłuża się ten płas, przedłuża... Już zasuwają się w przegródkę wybrana... Ach! Nie, nie! puszcza się dalej w swój płas szalony, lecz jej siłę staje, omdlewa, coraz ciszej turkocze... Jest!

Cisza dokoła stołu.

Ludzie „dobrze wychowani” nie pokazują, co czują, tak przy rulecie, jak w życiu. Na twarzach obojętne maski. Ani okrzyku rozpacz, ani tryumfu.

A jednak w chwili, gdy nieruchomieje galka, przemawia życie.

Zuzanna Aleksandra.



Gruziński poeta-obywatel.

Sędziwy poeta gruziński, ks. I. Czawczawadze, zginął przed paru tygodniami od skrytobójczego ciosu. Partyjny zaślepieniec (zabójstwo dokonane zostało podobno na



Ks. Czawczawadze.

gruncie nieporozumień agrarnych) zamordował męża, który wobec całego świata chlubił się reprezentował literaturę i kulturę gruzińską, którego poemat „Pustelnik” przełożony został na języki francuski i angielski, który pierwszy ze szlachty kaukaskiej był gorącym orędownikiem zniesienia państwa pańszczyzny. Wybrany do Rady Państwa, ks. Czawczawadze zasiadł w niej

na lewicy. Gorący patriota, śpiewający w swych pieśniach: „Rozkwitły już doliny, rozkwitły już pola, kiedy ty rozkwitniesz, Ojczyzno moja!” — nie doczekał się ziszczenia swych szlachetnych pragnień.



Kancelerz państwa, książę Bülow, opuszcza gmach sądowy, po złożeniu zeznania.



Chory książę Philu Eulenburg zawieszany, jako świadek w procesie Bülow contra Brandt, opuszcza po przesłuchaniu gmach sądowy.

Dalszy ciąg skandalu.

Jest to epilog sprawy Moltke contra Harden. Mówiąc: epilog, nie trzeba myśleć, żeby się skończył ten brzydki skandal berliński, obracający się naokoło różnych zbrodni, im wstrętniejszych, tem bardziej podniecających ciekawości publiczną. Dla tego zwłaszcza, że osoby w to zamieszane, stoją na samym świeczniku tego militarno-biurokratycznego ustroju, błyszcząc mundurami pułków gwardyjskich, lub szamerowanymi frakami ekscelencji. W przebiegu procesu Hardena łatwo już było dojrzeć, że z jednej strony, mianowicie ze strony oskarżonego Hardena, czyniono wszystko, aby mgła dyfamacji, otaczająca sprawę, ogarnęła sfery jak najwyższe; z drugiej broniono się rozpaczliwie, aby choć najpierwszą w państwie osobę usunąć jak najdalej od brudnego kompromitującego tła. A przecież, w miarę jak z dnia na dzień więcej szczegółów na jaw wychodzi, to ostatnie właśnie usiłowanie staje się coraz trudniejszym...

Sprawa zatem Brandt contra Bülow nie jest właściwie epilogiem skandalu, ale jednym tylko z dalszych epizodów. Brandt, choć mówią o nim, że jest „ex-anarchistą”, pozostał przecie ultra opozycyjnym. I jako taki dopuścił się w druku insynuacji, że książę Bülow, kanclerz państwa, należy tak samo do klikki homoseksualistów, tworzących kamarylę naokoło cesarza Wilhelma II, a wpływającą na politykę zewnętrzną i wewnętrzną, jak ci, którzy występowali w proce-

sie Hardena. Kanclerz Bülow zaskarżył Brandta o potwarz w druku. I na tem tle rozegrał się drugi proces, będący właśnie dalszym ciągiem wielkiego skandalu. Jest on już o wiele słabszym, mniej efektownym od pierwszego. Sama figura oskarżonego stoi daleko poza wybitną osobistością Hardena. Przytem, motywy przez Brandta przytoczone, są słabe, nie oparte na faktycznych danych, nie przykonywające, a przynajmniej nasuwające poważne wątpliwości co do zarzutów. Z procesu wychodzi kanclerz zwycięsko. Ale sprawa zbiorowego skandalu nie słabnie przez to, że Brandt skazany został na 1½ roku więzienia i że na wniosek prokuratora natychmiast idzie do kozy.

Pozatem jednak proces miał dwa momenty sensacyjne.

Pierwszym było ukazanie się kanclerza na sali sądowej. Wchodzi pewnym, silnym krokiem. Równie silnie, głośno a stanowczo zabiera głos w samej treści sprawy. Wszelkie zbrocenia seksualne — twierdzi — są dlań zarówno wstrętne, jak całkiem obce; obwinianie go o coś podobnego jest fałszem i nonsensem;

fakta, przytoczone przez Brandta o podejrzanym jego stosunku do dwóch jego sekretarzy i radców ministerjalnych Schäfera i Lehmann, są kłamliwe; nigdy nie był kanclerz przedmiotem szantażu z tej racji; przeczy również, jakoby wpływał na wytoczenie procesu przez hr. Moltkego Hardenowi; znał wprawdzie hr. Hohenau i księcia Eulenburga, ale nie tylko żadną ścisłą znajomością z nimi go nie łączyła, lecz nawet nie rozmawiał

z nimi w kwestyi zbrodni lub t. p.

Drugim momentem ciekawym było zjawienie się na sali ks. Philu Eulenburga. Książę jest chory. Wchodzi z trudnością na salę, wsparty na ramionach dwóch służących. Głosem słabym składa przysięgę i zaczyna mówić. Znał księcia Bülowa — zeznaje — ale nigdy nie łączyły go z nim jakiegokolwiek stosunki, o których wspomina Brandt; tylko ciężka choroba przeszkodziła mu, by stanął, jako świadek, w pierwszym procesie; nie przyznaje się do żadnej winy, określonej w paragrafie 175 kodeksu karnego; wszystko jest kalumnia, tak samo teraz, jak w procesie Hardena; historia o kamaryli naokoło osoby cesarza jest nieczem kłamstwem i potwarzą — i t. d.

Wrażenie niespodziewanego zeznania, pewności siebie człowieka, którego żadnym sposobem nie można było ściągnąć, jako świadka, do sali sądowej w procesie Hardena, jest kolosalne. Obecni z zapartym oddechem słuchają każdego słowa, badają gest każdy. Ta pewność siebie, pomimo fizycznej niemocy i wyczerpania, tak stanowcze zadanie kłamu wszystkiemu, sprawia ogólną sensację. Zdania są podzielone: albo ofiara, albo beczelny hypokryta...

Ale były to jedne dwa momenty procesu Brandta, ciekawe i sensacyjne. Sam jego przebieg, nawet wyrok, nie budziły ani w części tego zjawienia, jakie budził poprzedni proces, Hardena.

Berlin.

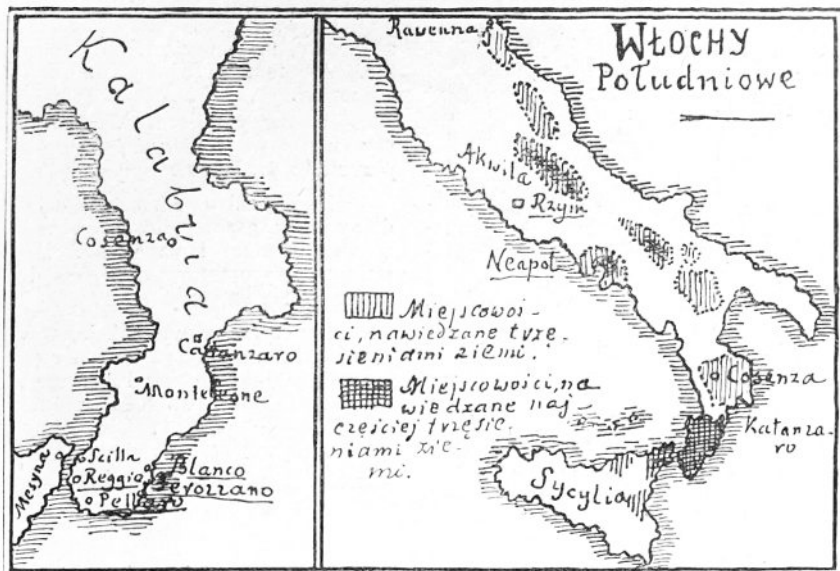
a.



Ofiary, złożone w Redakcyi.

Na pogorzelców Nowego Dworu: F. Klosek rb. 1.

Trzęsienie ziemi w Kalabrii.



Mapa tej części Włoch, którą najczęściej nawiedzają trzęsienia ziemi.



Na gruzach zniszczonej siedziby.



FERRUZZANO. Tymczasowa stacja telegraficzna.



Ratowanie ofiar.

Trzęsienie ziemi w Kalabrii.

Nie zdołała się jeszcze otrząsnąć malownicza Kalabria po katastrofie 1905 roku, gdy znów wstrząsający okrzyk „Il terremoto” przebiegł

jej obszary. Tym razem najbardziej ucierpiało miasto Ferruzzano, pobudowane na stoku skalistym, z wschodniej strony półwyspu. Z całego miasta pozostał tylko kościół; cała reszta miasta—w zupełnych szczątkach i ruinach. 300 osób zostało zabitych, 500 rannych; całe

tysiące bez dachu i chleba. Gmachy i domostwa zostały formalnie stłoczone jedne na drugie, splecione w jedno gruzowisko. Odgrywały się straszne sceny, wiele osób obłąkanych.

Z innych miast Kalabrii Catanzaro, Reggio, Pellarò, Brancaleone i Bianco (zaznaczone na mapce) w części uszkodzone, w części zniszczone.

Kalabria z miastami, które nawdziła katastrofa, przedstawia przepiękną górzystą okolicę niezwykle malowniczości. Miasta i wsie, które trud ludzki przez długie lata przyczepia do stoków, jak gniazda jaskółcze, w ciągu chwili niszczy żywioł okrutny.

Największą klęskę poniosła Kalabria przed 124 laty (1783). Trzęsienie ziemi zniszczyło wtenczas 109 miast i wsi—i zgładziło z górą 32000 ludzi; całe góry i miejscowości zapadły się wtedy w otchłań, potworzyły się szczeliny na kilometr szerokie, na 150 metrów głębokie; całe cyple pozwały, zmieniając kształt okolicy.

Trzęsienia ziemi w Kalabrii zależne, jak wnoszą uczeni, od wulkanicznej przyrody okolicy i od przesuwania się warstw podziemnych szczelinami i tokami wewnątrz, którymi przerznięta cała południowa Kalabria. Jest nadzieja, że kiedyś będzie można ostrzegać o posuwającej się burzy podziemnej, jak ostrzega się już za pomocą sygnałów o posuwającej się burzy morskiej.

Dołączone mapki przedstawiają: jedna—część półwyspu, obecnie nawiedzoną przez katastrofę, druga—cały półwysep kalabryjski z oznaczeniem szlaku, stale nawiedzanego przez trzęsienia ziemi.

ja.



Przywódca KD-tów.

Milukow to prawdziwy *Spiritus movens* partyi kadeckiej, w dwóch dumach potężnej, w obecnej—zredukowanej do garści opozycyjnej. Leaderowania nikt Milukowowi nie wydierał, ani zaprzeczał nawet wtedy, kiedy ten działacz siedział skromnie w łóżku dziennikarskiej. Z tej to łóżki, z kuluaru parlamentarnego, z gabinetu swego redakcyjnego „Riechi” prowadził ster kadeckiej polityki i kierował tymi, którzy byli mówcami partyi, prezesami Dumy i przewodniczącymi komisji. Człowiek to nie stary jeszcze, blond-rudawy, ze świeżą, panięską niemal cerą, spokojny zawsze, panujący nad sobą i nad sytuacją, nie poddający się ani rozdrażnieniu, ani niechęciom osobistym, ani sympatjom ideowym. Polityk zimny i taktik znakomity—dlatego, że zimny. Była chwila, kiedy go wymieniano, jako kandydata na ministra spraw wewnętrznych; chwila ta—daleko. Dziś staje on, dostawczy się nareszcie na fotel poselski, na czele opozycji parlamentarnej, aby prowadzić walkę z mocą dotychczas mu nieznaną: większością rządową Dumy.



Milukow.



Fabryka papieru w Sławniowie pod Pilicą.

OAZA.

Przemysłowo-powieściowe
stosunki z rzeczywistości.

Istnieje pewien zakątek w kraju naszym, gdzie przemysł zdołał osiągnąć duży stopień sprawności, gdzie jednak fala anarchizmu i destrukcji nie dotarła, a właściwie, dotarłszy, odrzuconą została energicznie przez samych robotników.

To Pilica w olkuskim.

Pod tem miasteczkiem istnieją dwie papirnie, jedna w Sławniowie, druga w Wierbce, obie należące do p. Aleksandra Moesa, a zatrudniające do tysiąca robotników.

Możnaby rzec, iż miejscowość ta — to prawdziwa oaza zieloności i wiosny, rzucona na pustynię stosunków przemysłowych naszych ostatnich paru lat, na której dzikie wichry dziwne a złowieszcze wyprawiały igrzyska.



Pałac w Pilicy.

Trafiłem na nielada uroczyszc w miejscowych stosunkach, co mi pozwoliło obejrzeć ten mały, zaciszny światek, położony u źródeł Pilicy, w odległości poważnej od dwu kolei, w jego spokoju odświeżnym, i przyjrzeć się

jego fizynomii, pełnej zadowolenia jakie dają: dobrobyt materialny i wewnętrzny spokój.

Dwaj pracownicy fabryczni, p. Sebastian Bednarski i p. Teofil Rychter, ukończyli pięćdziesiąt lat pracy.

Właściciel papirni, człowiek równie humanitarny, jak energiczny, urządził dla tych pracowników, zasłużonych i wysłużonych, jubileuszową uroczystość.

I jako świadek tej uroczystości, właśnie podaje tu czytelnikom „Świata“ garść wrażeń, interesujących z pewnością nie tylko mały światek, u źródeł Pilicy położony.

Uroczystość poczęła się od nabożeństwa.

Na wzgórzu wysokim, jakich w olkuskiej ziemi, stanowiącej „przykarpacie“, nie brak, stoi starożytny, jedenestego wieku sięgający kościółek. Św. Piotr jest jego patronem.

Przerabiano go wiele razy, oczywiście, raz mu sprawiono drzwi wewnętrzne z kamienia ciosanego; drugi raz uwieńczono go barokową wieżyczką; przed paru laty malarze krakowscy pomalowali go z wielką sztuką i inteligencją. Jednak swój kształt pierwotny małej modrzewiowej, najwinnieprostej kapliczki, nakrytej czapką wysokiego gontowego dachu, zatrzymał i przechował.

Tu dwaj jubilaci, przed ołtarzem na krzesłach posadzeni, wysłuchali mszy niedzielnej, a z kościoła wyszli wśród tłumu „fabrykantów“ (tak tu się nazywają „robociarze“), wyprowadzeni pod ramię przez p. Moesę.

Ten obrazek jest symboliczny: w tym szczęśliwym zakątku bogaty przemysłowiec idzie właśnie ramię obok ramienia, z robotnikami, podtrzymujący ich i wzajemnie przez nich podtrzymywany.

Uroczystość przenosi się teraz do ochrony fabrycznej, przystrojonej świerkową zielenią i mnóstwem świeżych chryzantem.

We właściwym momencie poczynają się mowy i wznoszą toasty.

Pierwszy przemawia p. Moes.

Mówi ciepło, serdecznie; przypomina długie lata wspólnej pracy; podnosi uczciwość i obowiązkowość weteranów. Obdarza ich pamiątkami zegarkami; daje im po woreczku złotych monet (po 50 sztuk); oznajmia im, że odtąd obowiązków względem fabryki nie mają żadnych, zaś prawa — wszystkie, jakie do dziś dnia nabyli.

Nie jest to świąteczny i wyjątkowy sentyment, jaki dziś brzmi w tych słowach pilickiego fabrykanta do robotników; fabrykant to wyjątkowy; ma on dla pracy swoich robotników istotny szacunek i cześć; widzi w niej nie tylko źródło dochodów, ale i cnotę; patrzy na nią nie tylko zimnem spojrzeniem rachmistrza, ale i humanitarnem okiem czło-

wieka, który czuje w sobie sumienie, a nad sobą odpowiedzialność.

Odpowiedzi i toasty robotników są proste, mało uczonne, naiwne zwykłe. Ale tem wyraźniej czuć w nich szczerłość.

Robotnicy fabryki Wierbki, którzy tu przeważają, ani jednego dnia przeciwko p. Moesowi nie strejkowali.

Mówią mi o tem członkowie rodziny tego przemysłowca, a mówią ze wzruszeniem i uznaniem. Mówią mi o tem robotnicy sami — z dumą i ukontentowaniem.

I w tym jednym fakcie, w goły sposób zanotowanym, wyraża się wymownie najpiękniejszy i najwspanialszy toast, jaki wzniesić można za obie klasy, złączone tu w jedną humanitarną całość.



Robotnicy-jubilaci przyjmują życzenia od p.p. Moesów.

Druga z tych fabryk w Sławniowie, w epoce najgorętszej uległa terrorowi garści szaleńców i pod terrorem tym zatrzymała pracę przez dwa tygodnie. Pan Moes okazał tu tyle stanowczości, ile dawał do wódw dbałości o los pracowników w swoich przez cały ciąg swej działalności. Organizatorów i wykonawców strajku usunął z fabryki, pogroził się nie złąkł, przed „wyrokami śmierci“ nie

zbladł, — co prawda i życzliwości swej dawnej dla potrzeb robotniczych nie zmienił i nie osłabił.

I wszystko wróciło do dawnej normy, do poprzedniego ładu.

Strajk w Sławniowie nie powtórzył się.

Nie wymieniam tu tych wszystkich instytucji, jakie pod Pilicą powstały, aby wzmocnić dobrobyt i zadowolenie miejscowego życia. Można być pewnym, iż co tylko uzyskali gdzieś robotnicy, to mają, jako minimum, i pod Pilicą: ochronki, szkoły, szpital, sklepy spożywcze, kasę, emeryturę, osobne domki, ogródki, park dla zabaw, majówki i rozrywki.

Wszystko to ustępuje na plan dalszy wobec tej instytucji, jaką stanowi żywy, dobry stosunek państwa Moesów do swej robotniczej rodziny.

Źródło dobrobytu stąd właśnie płynie.

Robotnicy posiadają nie tylko różne ulgi i dodatki; mają oni i pomoc intelektualną, i opiekę moralną, i pewną, dość surową, choć dyskrecyj i delikatności pełną, kontrolę nadobyczajami.

Ta bezpośredniość stosunku jest tym pierwiastkiem właśnie, który stanowi cement, spajający fabrykę w rodzinę.

Robotnik w gruncie rzeczy wdzięczniejszy jest za parę dobrych i ludz-



Stary kościółek w Pilicy.

kich słów fabrykanta, aniżeli za jakąś gratyfikację, wypłaconą mu z polecenia jego przez kasjera. Nie będzie on zdolny rozwinąć w sobie nianawiści w stosunku do człowieka, z którym spotyka się często, którego poznaje bliżej i w którym dostrzega dobre i ludzkie strony.

Tej właśnie linii ustawicznego zetknięcia się z robotnikiem trzyma się fabrykant z Pilicy.

Jest to pewien system, jeżeli chcecie.

Ale nie leży on na poziomie, dla każdego dostępnym, skoro tak wyjątkowo bywa praktykowany — pomimo pewności dobrych rezultatów.

Demil.



Pani Moesowa.

P. Aleks. Moes.

Felieton Warszawski.

Zgryźliwy cynik mówił:

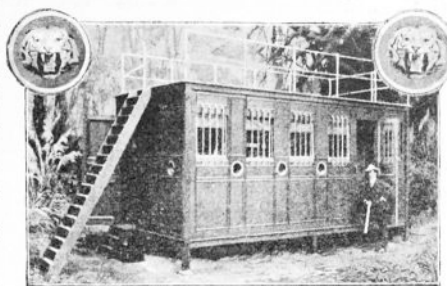
— Do liczby wytartych liczmanów, mających stały kurs w naszym kraju, należy przeświadczenie, iż Warszawa jest miastem nieskończenie dobroczynnym. W jaki sposób utrzymało się to pojęcie? Przyczyniło się do tego niechybnie tysiące żebraków, czujących na przechodniów we wszystkich dzielnicach; najprostsza logika bowiem każe dedukować, iż skoro tylu ludzi żyje z jałmużny, to widocznie Warszawa chętnie i wiele jej udziela. Mogłoby to wprowadzić również dobrze dowodzić wielkiej, strasznej nędzy, jakiej nie spotyka się już w żadnym innym mieście europejskim, przyjemniej jednak jest myśleć, że Warszawa słynie z filantropii, nie z nędzy.

— Warszawa nie jest miastem dobroczynnym? oburzył się na te słowa młodzieniec, noszący na twarzy pogodny wyraz, a na nogach—lakierki. To potwarz! Czyż jest miasto w świecie, w którym by na szkoły, ochrony, przytulki, szpitale i inne tego rodzaju instytucje więcej koncertowano w poście, a tańczono w karnawale? Czyż wszystkie niemal odczyty nie są wygłaszane na podobne cele? Czyż...

Młodzieniec urwał, bo na lewym lakierku ujrzał skazę i wraz zmącił się pogodny wyraz jego twarzy. Skorzystał z tego zgryźliwy cynik i dorwał się nieproszony do słowa.

— Skakać, to już polak zawsze gotowy. Przy każdej okazji. Ale mówi mi pan o koncertach i odczy-

Wygodne polowanie.



Klatka myśliwska do polowania na dzikie zwierzęta w Indyach ks. Randzi-trindzio.



Wnętrze klatki myśliwskiej.

Sztuka polowania nie umarła jeszcze, może nawet się rozwija ciągle, tylko rozwój ten w innym, niż dawniej, idzie kierunku. Myśliwy stara się dziś osiągnąć maximum bezpieczeństwa w spotkaniu z dzikim zwierzem, w czym mu też udoskonalona broń współczesna dobrze pomaga. Na przygodę ten obecnie jest tylko narażony, kto ze szczególną zawziętością „poszukuje guza.” Trudno jednak dalej posunąć wygodę, a zarazem usunąć z polowania wszelki element rycerskości, jak to uczynił indyjski książę, Randzi-trindzio. Zbudował on prawdziwy

gabinet wielkopański na resorach, opancerzony mocno i opatrzone strzelbami i strzelnicami. Taki elegancki pojazd zawozi się w głąbie dżungli, a myśliwy czeka w nim na zwierza, dość naiwnego, który się do tej zabezpieczonej na wszelką ewentualność klatki przybliży. Czy tylko ten sposób nie jest sztuką na krótką metę? Jeżeli będziemy wierzyli znawcy i poecie dżungli, Kiplingowi, to już drugie pokolenie tygrysów, na widok tego wagonu, wjeżdżającego w gęstwinę, będzie sobie szeptało: „Ty, szelmo... Ja cię znam!”

tach! Któż tam jest jedynym, hojnym ofiarodawcą? Prawie zawsze i wyłącznie artyści i uczeni. Poważne damy przychodzą do słowiczogłosej śpiewaczki, do znakomitego artysty dramatycznego. — Pani nam nie odmówi swego udziału w koncercie na ochronę. — Pan musi uswietnić nasz kabaret swoją deklamacją. I daremne wymawianie się. — Cóż to pani szkodzi zaśpiewać parę piosenek? — Jeden z tysięcy wierszy, które pan umie na pamięć...

— „Warszawa jeszcze raz dowiodła, iż jest najdobroczynniejszym miastem w Europie”, piszą nazajutrz po koncercie dzienniki. Tłusty kamienicznik, który wydawszy dwa ruble na bilet, pieścił ucho słodkim śpiewem i trząsł brzuchem od śmiechu podczas monologu, jest przekonany, że spełnił bohaterski uczynek. Złożył swego obola na ołtarzu nędzy! Mili panowie! On tylko tanio opłacił doznana przyjemność. Ofiarodawcami byli śpiewaczka i artysta dramatyczny. Połowa naszych instytucji dobroczynnych zawdzięcza swe dochody artystom i literatom. Czy to nie jest wyzyskiem?

Tu wtrącił się do rozmowy dziennikarz.

— W tem samem mniej więcej położeniu znajdują się redakcje wszystkich czasopism. Setki instytucji i pojedynczych osób domaga się codziennie „ciepłych wzmianek”. Oczywiście, zawsze w imię interesu społecznego. — Pan redaktor nie odmówi nam umieszczenia artykułiku o Stowarzyszeniu kobiet, pracujących nad umoralnieniem zatwardziałych kawale-

rów. — Tworzymy spółkę narodową celem produkowania rodzynek w kraju i prosimy o poparcie. Każdy artykułik ma dwieście wierszy druku. — Pan redaktor nie chce? To nie po obywatelsku. Ale przynajmniej dostaniemy bezpłatny egzemplarz pisma!

Pan Hosenkropf zjawia się w redakcji postępowego pisma i prosi o ciepłą wzmiankę o b. p. swoim wspólniku, którego Jehowę powołał do wiekistej światłości. Redaktor nader uprzejmy dla prenumeratora, prosi o szczegóły. — Owszem, z przyjemnością, tylko musimy to jakoś umotywować... Co wspólnik pański zrobił takiego, żeby można było o nim pisać? — Co on zrobił? On zrobił bardzo dużo... — To trochę ogólnikowe!... — Czy jako kupiec był uczciwy? — Co to jest uczciwy? Naturalnie, że był uczciwy. Raz jeden zbankrutował i siedział pół roku, ale to już dziesięć lat temu.

Cokolwiek stropiony, redaktor pyta dalej. — Zapewne był dobrym mężem i ojcem? Można podnieść jego zasługi w życiu rodzinnym? — Tak jest, on był bardzo dobrym ojcem i mężem. Tylko dzieci to on wcale nie miał, a z żoną to się rozlecieli bardzo dawno...

Redaktor jest już zupełnie wysadzony z siódła. — Panie łaskawy, mówi, z jakiejże u diabła racji mamy w takim razie pisać o pańskim wspólniku? Co o nim można powiedzieć?

— Niech pan napisze, że on był od dziecka bardzo słabowity...

Młodzieniec w lakierkach, zapalony wielbiciel polityki p. Dmowskie-

go, zaczął śmiać się szczerze i za głośno.

— To jest klientela pism postępowych!

Zgryźliwy cynik, fanatyczny zwolennik ideałów p. Kempnera, zrobił pod adresem młodzieńca uwagę.

— Wyrwał się, jak Filip z Konopi!

— Coś pan powiedział?

— E, mój panie, skoro ci brak piątej kleпки, to zamieć!

Z twarzy młodego demokraty narodowego znikł pogodny wyraz, a miejsce jego zajęły niepokojące wypieki.

— Panie! Jeszcze jedno słowo, a... Postępowy demokrata dorzucił.

— Jowialny Chunchuz!

Tego już było młodzieńcowi za wiele. Rzucił się z podniesioną pięścią na gburnego postępowca. I już miała nastąpić skandaliczna scena bójk, gdy starszy pan rozdzielił poważnym gościem przeciwników.

— Młodzieńcze! rzekł, cenię w tobie tę szlachetną drażliwość „na punkcie“ (tak mówił starszy pan) honoru. Ale oświadczam ci, że ten pan (tu wskazał na cynika) nie obraził cię wcale, że słów, które wyrzekł, nie wolno ci uznać za obraźliwe, jeśli nie chcesz sprzeniewierzyć się swemu stronnictwu. Albowiem p. Władysław Jabłonowski, przed sąd wezwany, jako rzeczoznawca, publicznie ogłosił, iż te wyrazy nie zawierają żadnej obelgi. A czy mógłbyś poddawać w wątpliwość opinię p. Jabłonowskiego.

Młodzieńcowi opadły ręce.

— Nie mógłbym, szepnął.

Nastał moment przykrego milczenia. Nawet zgryźliwy cynik odczuł wysokość ofiary, złożonej przez młodzieńca na ołtarzu solidarności politycznej. Dziennikarz, z właściwą mu przytomnością umysłu (wyrobioną przez trzymanie ręki na pulsie społecznym), zmienił czempredziej temat rozmowy.

— Czy panowie nie znajdują, iż Zapolska urwała „Córke Tuśki“ trochę niespodzianie. Ta przypadkowa śmierć Pity na ulicy zakrawa na *fait divers*...

Ozwały się głośne protesty.

— Dajcie pokój. Świetna powieść. Przez sześć miesięcy Warszawa interesowała się losami Żebrowskiego, Tuśki, Pity i Władki, jakby to byli bliźcy jej, żywi ludzie. Mówiono o nich, jak o dobrych znajomych. Był to jeden z wielkich tryumfów najlepszej dziś w Polsce powieściopisarki.

— Teraz „Kuryer Warszawski“ rozpoczął druk powieści Konara „W Syrenim grodzie“. „Kuryer“ ma szczęście w ostatnich czasach do beletrystyki, bo już pierwszy rozdział nowo powieści Konara rozwija się na-

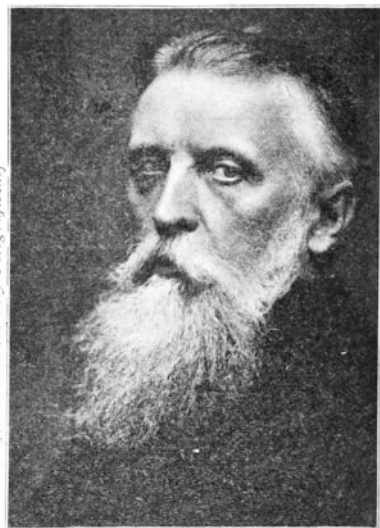
der zajmująco. Odsłania po mistrzowsku kulisy życia warszawskiego, którego autor „Siostr Malinowskich“ jest jednym z najlepszych historyografów.

„Zaś „Gazeta Codzienna“ zapowiada nową powieść Henryka Sienkiewicza „Ponad życiem“, osnutą na współczesnych stosunkach polskich.

Redivivus.

Jubileusz.

Jubileusz Aleksandra Świętochowskiego jest nie tylko uroczyscie obchodzony przez sfery postępowe naszego społeczeństwa, którym tak długo przewodził, ale słuszną i sprawiedliwą jest, aby cały kulturalny świat polski przypomniał sobie przy tej sposobności, że bez względu na różnice opinii, jest to publicysta i dziennikarz pierwszej miary, zajmujący też swego czasu, dzięki oryginalności swych pomysłów, niepoślednie miejsce w beletrystyce naszej. Jeszcze przed ćwierć wiekiem nie było człowieka w Polsce, któryby na szerokie koła młodej inteligencji oddziaływał równie silnie, jak Aleksander Świętochowski. Uchodził też za istotnego twórcę t. zw. pozytywizmu warszawskiego. — Już jako współpracownik przełomowego naówczas pisma, „Przeglądu Tygodniowego“, zasłynął z ciętości pióra, werwy i talentu polemicznego, a przede wszystkim, jako pierwszorzędnym stylistą. Później, jako redaktor niezbyt długotrwałych „Nowin“, przede wszystkim zaś jako długoletni kierownik tygodnika „Prawda“, był wybitną, a może jedyną poważną płacówką polskiego liberalizmu, postępu i hasła, z tym kierunkiem związanych. W ostatnich czasach stanął też, wraz



(Złoty Wawrz. Szkoły Fotograficznej)

Aleksander Świętochowski.

z Krzywickim, jako jedyny poważny kontr-kandydat od stronnictwa postępowego w Warszawie do Dumy państwowej.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Cygance. „Ostatnie pożegnanie“ i „Czemu“ nie będą drukowane w „Świecie“. J. W. Nadesłane wierszyki nie będą drukowane. Rękopis zniszczyliśmy.

„100“. „Marzenie“ nie będzie drukowane: za słabe, — na nutę ograna. Rękopis zniszczyliśmy.

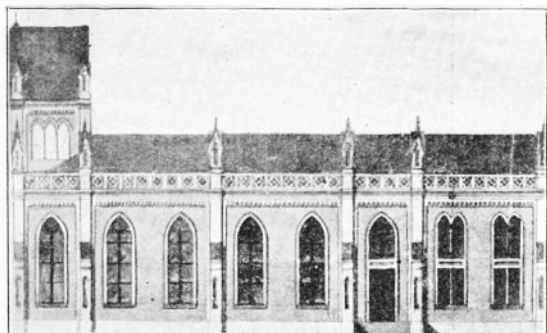
Nemo. Szkoła dykcji i deklamacji istnieje w Warszawie przy Warsz. Tow. Muz.; po bliższe wiadomości proszę się zwrócić do Tow. Muz. w Warszawie.

Medal na cześć prof. Jakubowskiego.



Po czterdziestu trzech latach pracy naukowej (1864—1907) ustąpił z katedry uniwersytetu Jagiellońskiego znakomity profesor chorób dziecięcych, dr. Maciej Jakubowski. Nauka polska zawdzięcza mu wiele, a równie wiele winny mu niezliczone zastępy ubogiej diatwy, której był serdecznym, całą duszą oddanym przyjacielem i opiekunem. Kolonia letniska dla dzieci skrofulemicznych w Rabce, która dziś posiada piękny własny dom, to dzieło znanego prof. Jakubowskiego. Również krakowski szpital dziecięcy św. Ludwika, to

czem jest, zawdzięcza prof. Jakubowskiemu. Znakomity lekarz-praktyk, rozrywany przez chorych, znaczną część swego czasu poświęcał ubogim, którzy za powrócone zdrowie wzajemnie mu się mogli tylko wdzięcznością. Uczniowie czcili prof. Jakubowskiego, cały Kraków znał i cenił jego zasługi, jako uczonego i obywatela. Wydział lekarski uniwersytetu Jagiellońskiego zamknął profesorską działalność Jakubowskiego wybiciem na jego cześć wspaniałego złotego medalu pomysłu art. rzeźbiarza Jana Raszki.



Charbin w obecnej chwili posiada około trzech tysięcy katolików, poczęści polaków. W czasie budowy Wschodnio-Chińskiej kolei żelaznej katolicy zmuszeni byli udawać się po pokarm duchowy do misji katolickiej francuskiej, oddalonej o 40 wiorst od Charbina. Charbin, jako jedno z głównych ognisk przemysłu i handlu Mandżuryi, zdobył się nareszcie na wybudowanie własnego kościoła katolickiego. Dzięki inicjatywie p. R. Webera, zorganizowano komitet budowy i powołano na prezydującego p. Stanisława Gabryela, dyrektora Banku Rosyjsko-Chińskiego, na skarbnika do-

ktora Łazowskiego. Projekt—wykonany przez inżyniera p. Gireja w stylu gotycko romańskim, pieczę techniczną powierzone inżynierowi K. Weberowi. Roboty budowlane wykonane są przez warszawianina, p. Drożdżickiego. Budowa posuwa się pomyślnie; w obecnej chwili roboty zewnętrzne są na dokończeniu, lecz z braku funduszy i nadchodzących mrozów wstrzymano je do wiosny. Zimową porą ma być urządzonych kilka przedstawień amatorskich i bal polski, co da możność przysporzenia trochę grosza na dalszą budowę.

Bol. S.

J. E. ks. Karol Hryniewiecki, b. biskup wileński, korzystając z pozwolenia powrotu na dwa miesiące do granic państwa rosyjskiego (z wyjątkiem Król. Polskiego i gub. wileńskiej), bawił przez ten czas w Baranowiczach, poczem powrócił napowrót do Lwowa.

Przesilenie w Kole polskiem w Wiedniu.



J. E. Wojciech hr. Dzieduszycki, ustępuje ze stanowiska ministra dla Galicji.



J. E. Dawid Abrahamowicz, ustąpił ze stanowiska prezesa Koła polskiego, ma być mianowany ministrem dla Galicji.



J. E. Andrzej hr. Potocki, namiestnik dla Galicji, ma podobno zamiar podać się do dymisji z powodu zmian, jakie zachodzą w kierownictwie polityki Koła.



Stanisław Głabiński, jeden z przywódców stronnictwa narodowo-demokratycznego, dotychczas wiceprezes Koła, obrany na prezesa.

Z teatrów warszawskich

TEATR ROZMAITOŚCI. „Zmartwychwstanie pieśni“, sztuka w 3-ach aktach Mieczysława Awdanča (p. Maryi Sokółowskiej), nagrodzona na konkursie łódzkim.

Czuje się nieco skępowanym w ocenie sztuki przez to, co napisano o niej przed jej przedstawieniem w ostatnim numerze „Świata“. Tem bardziej, że pisał to tak wytrawny, a głęboki znawca sceny, przytem estetyk i krytyk, jakim jest niezaprzeczenie p. Józef Kotarbiński, który, jak zaręcza, czytając ją w rękopisie, „pochłonał rzecz z niesłabnącem na chwilę zajęciem“, do tego stopnia, że: wita sztukę z przyjemnością, zwiastując narodziny, budzące piękne nadzieje... Pochlebiałoby mi niewymownie, gdybym mógł być tego samego zdania. Ale trudno... Znalazłem się

w dużo gorszym położeniu: nie czytałem sztuki w manuskrypcie, alem ją zobaczył na scenie. W dysonansie zdań, jaki stąd powstał, co mi sprawia istotną przykrość, pociesza mnie choć w części to, że zdobyłem jedno doświadczenie więcej, które sformułowałbym tak: najgłębszy krytyk nie powinien ryzykować swego zdania o sztuce, zanim ona nie przejdzie przez próbny ogień sceny. Bo to jest dopiero jej ostatecznym kryterium...

Autorka „Zmartwychwstania pieśni“ popełniła błąd, bardzo powszechny u naszych dramaturgów, którym się zbyt często wydaje, że mając nadzwyczaj: „piękne i wzniosłe idee“, można do nich na poczekaniu dorobić sztukę teatralną. Tymczasem prawdziwy dramaturg (zwłaszcza francuz) posiada najpierw gotową i aż do szczegółów obmyślaną sztukę, gotowe sceny i sytuacje, a dopiero potem do-

rabia do tego piękne słowa i myśli, sentenye, dowcipy i t. p. Ostatni system zawsze zwycięża — do tego stopnia, że nie rzadko zręczna płytkość, ale obdarzona pocuciem i nerwem scenicznym, triumfuje nad głębszym pomysłem, nie popartym znajomością teatru.

Cóż dopiero, jeśli ta wielka idea, która stworzyć miała „Zmartwychwstanie pieśni“, jest tylko słodkim złudzeniem. W gruncie rzeczy sam pomysł obraca się na zużytych aż do młodości temacie oklepanego „trójkąta małżeńskiego“, czyli: mąż, żona i ten trzeci... I nie więcej. A że to wszystko ma posiadać jakiś podkład niby to „nowych torów“, — to jeszcze gorzej. Boże! ileż karykatur literatury i sztuki spłodzono pod tem wezwaniem... Ileż nieuctwa i braku talentu maskowało się i drapowało pompacyjnie w dziurawy i tandetny płaszcz „no-

wych torów...“ Wszystko jedno, czy zdradzonym mężem jest profesor uniwersytetu, którego ekscentryczność motywuje się tem, że nosi buty palone, a genialność wygłoszeniem kilku komunałów kapłańsko-filozoficznych na temat: altruizm i egoizm, albo: potrzeba kształcenia sere, nie tylko umysłów — lub jeszcze coś w tym guście... Wszystko jedno, czy kochanek jest artystą, noszącym się z myślą namalowania genialnego obrazu, do którego pozuje piękna Rita, żona profesora... Cóż z tego, gdy w jedynej scenie miłosnej, mogącej w zwykłych warunkach tchnąć prawdą i uczuciem, słyszymy taki krzyk serca:

ON: Uciekniesz ze mną o godzinie 6 do Neapolu?

RITA (*po namyśle*): Nie.

ON: W takim razie zniszczę obraz...

I to dopiero przekonało Ritę, że musi uciec z Alfredem. *Truc rzeczywiście całkiem nowy, pour faire cascader... cascader la vertu...*

Nie pomogła dobra i sumienna gra aktorów, jak np. Kotarbińskiego, Nowickiego, Lenczewskiego, Palińskiego i innych, oraz p. Siennickiej, ani dość dobra, choć w szczegółach nie wykonczona wystawa. Z zasadniczo fałszywego i sztucznego założenia życia i prawdy wykrzesać niepodobna.

A. Br.

TEATR MAŁY (Filharmonia) wystawił zeszłej soboty 4-aktową farsę z angielskiego p. t. „Miss Hobbs“. Przed kilku laty grano ją na scenie teatru Nowości. Treść polega na starym temacie: nienawiści do rodzaju męskiego, naturalnie wzmówionej tylko i pozornej. Po kilku dość wesołych aktach i śmiesznych sytuacjach oporna Miss Hobbs przekonywała się, że p. Wolff Kingsearl jest: „innym, jak wszyscy“. I, jak łatwo było przewidzieć, wszystko kończy się jak najlepiej. Farsę grano nie bez werwy i we właściwym tempie. Z artystów zasługuje na wyróżnienie przede wszystkim p. Łacka-Pawłowska w roli tytułowej, posiadająca i wdzięk, i życie, i pewien naturalny humor w grze. P. Mielnicki był, jak zawsze, dobrym amantem lekkim. Wtórowali im bez zarzutu pp. Noskowski i Szarski, oraz panie Dulębianka, Jarszewska i Staszewska.

a.



Leon Rinskopf.

Wkrótce, jako kapelmistrz wystąpi w Filharmonii warszawskiej, jedna z najciekawszych osobistości belgijskiego świata muzycznego: Leon Rinskopf.

Szybko biegnąc po stopniach kariery, najprzód jako laureat Konserwatorium i konkursu muzycznego w 1889 r., jako dyrektor królewskiego teatru, następnie twórca najwybitniejszego zespołu chóralnego w Belgii, Rinskopf stanął na czele akademii muzycznej i orkiestry w Ostendzie, gdzie w świetny sposób rozwinął swoją działalność.

Pod jego kierunkiem akademii ostendzka stała się jedną z najpierwszych instytucji muzycznych w Belgii, orkiestra zaś kursału — zyskała



Leon Rinskopf.

sławę jedyne-go w swoim rodzaju zespołu instrumentalnego, złożonego ze 125 wykonawców, wyłącznie profesorów lub laureatów konserwatorium.

Rozporządzając takimi atutami, Rinskopf zorganizował szereg koncertów „klasycznych“, które dzięki doborowi programów w najwyższym stylu i znakomitemu wykonaniu, zyskały sobie sławę wszechświatową.

Rinskopf jest także kompozytorem wartości poważnej i w dziale tym ostatecznie się jeszcze nie wypowiedział.

J. R-g.

Ś. p. Józefa Mazurowska.

Najstarsza z żyjących artystek Teatru Rozmaitości, współczesna Żółkowskiego, Królikowskiego, Rychtera i całej plejady z wielkiej epoki sceny warszawskiej, ś. p. Józefa z Pogorzelskich Mazurowska, zmarła dn. 4 listopada, w wieku lat 83. Pierwszy jej debiut, 13 sierpnia 1845 r. w Józefa Korzenińskiego „Doktorze medycyny“ powiódł się i od tej pory, przez przeszło

pół wieku, była Mazurowska jedną z wybitnych artystek, zwłaszcza w zakresie ról komiczno-charakterystycznych. Przed kilku laty dopiero, złamana wiekiem, usunęła się ze sceny. Była uczennicą Jasińskiego i Halpertowej. Pomiedzy wybitnymi rolami, które starsze pokolenie bywało teatralnych dobrze jeszcze pamięta, wymienimy: Szarucką w „Majstrze i czeladniku“, Karolinę de Villegieu w „Przebudzeniu się Iwa“ (obie te sztuki należały do popisowego repertuaru Żółkowskiego), komiczną teściową w „Niespodziankach rozwodowych“, oraz mnóstwo postaci starych a romansowych panien, śmiesznych matek i ciotek i t. d. Jej *vis comica* dochodziła czasem do szarży, do karykatury, ale talent był oryginalnym, silnym i dosadnym w charakterystyce. — Przed kilku laty odbył się 50 letni jubileusz zasłużonej i utalentowanej artystki, po którym wkrótce usunęła się na zawsze ze sceny.



Odpowiedzi od Administracyi.

Pani Z. R. Aparat „Atom“ do usuwania kurzu, nabyć można w domu handlowym Iwasiewicz i S-ka, ul. Jerozolimska 74, w cenie rb. 125, 225, 170.

J. Hading w Warszawie.

Ongi jedna z piękniejszych artystek paryskich. Piękność jej uczyniła poważny wyłom w magnackiej fortunie polskiej... Ale to było dawniej. Dziś p. Hading dość źle nosi swoje 46 wiosen (niedyskretny biograf twierdzi, iż urodziła się w Marsylii d. 25 Listopada 1861 r.) W miarę, jak tra-



Jane Hading.

wiała wiosnianą świeżość cery i młodzięczy blask spojrzenia, talent jej rozwijał się pięknie. I nieboszczyk wujaszek Sarcey, który odmawiał go jej uparcie, dziś może zmienićby zdanie. Inna rzecz, coby wolała p. Hading: czy wrócić do dawnych lat, kiedy Sarcey przy każdej nowej roli wychwalał jej urodę i wkwintne manery — i nie więcej, — czy dzień dzisiejszy, kiedy krytyka podnosi jej inteligentną, artystycznie opracowaną grę, a milczy o minionej piękności. Niestety, wybierać nie można.

P. Hading i teraz nie posiada talentu spontanicznego, niecącego święty dreszcz w audytorjum; grze jej braknie tej żywiołowej potęgi szczerości, która porywa. Ale każda jej rola przemyślana jest umiejętnie i głęboko, bogata w szczegóły trafne i dowcipne. Artystka ta wzrusza rzadko, interesuje zawsze. Role konwersacyjne, wymagające więcej subtelności, niż serdecznej rzewności, mają w niej doskonałą przedstawicielkę. Przytem p. Hading rozumie, że jej indywidualność artystyczna wymaga właściwego otoczenia. Nie poszła za przykładem innych gwiazd i gwiazdek i pielgrzymkę swą prowadzi w towarzystwie aktorów uzdolnionych i doskonale zgranych. Całość przedstawień idzie składnie i zostawia wrażenie harmonijne, — od jakiego odwykliśmy nawet w teatrach warszawskich.

S. K.



NADESŁANE.

J. MIECZKOWSKI.

Fotografia.

Marszałkowska 111. Telefon № 16-81.

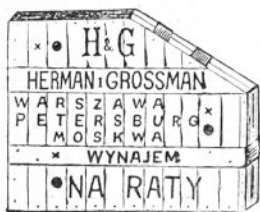
Tow. Akc. Browaru **Haberbusch i Schiele**
1041 poleca **PIWO PILZEŃSKIE**

**KOMPOTY,
CUKRY DESSEROWE,
MARMEŁADY,
OWOCE CUKRZONE,
ABRYKOSOW MOSKWA**

HOTEL CONTINENTAL
w Kijowie.

Pijcie piwo „Waldszleschen“

Żądać wszędzie.



SKŁAD INSTRUMENTÓW MUZYCZNYCH
GRAMOFONÓW I PŁYT



E. Feigenbaum,

Warszawa, Marszałkowska 141.
Telefon Nr. 83-95.

Największy wybór. Najtańsze źródło.

Teatr Oaza

WIERZBOWA 9, lokal po Stępkowskim.
Przedstawienia co godzina od 4^{1/2}—11^{1/2}
wieczorem. Ceny od 30 kop. dzieci
i uczniowie 20 kop.

Tow. urządzeń szkolnych i pomocy naukowych **„URANIA“**

WARSZAWA, BRACKA 18 tel. 7769.

Stała wystawa pomocy naukowych.

Biurowe otwarte od g. 10 r. do g. 7 w.

Cenniki: No 1. Dla szkół ludowych i początków.
No 2. Pomoce do wykł. geogr. i histor.
No 3. Pomoce do wykł. nauk przyrodn.
No 4. Latarnie magiczne i przezrocz.
No 5. Pom. do wykł. fizyki i chemii
(w przygot.)

Składy na Meble

„SYRENA“
Krak. Przedm. 38

Kolonia polska w Petersburgu.

Z dniem 28 października rozpoczyna swoją działalność założone w Petersburgu Towarzystwo Polskie Zach. S. P.

Towarzystwo składa się z czterech sekcji: literackiej, muzycznej, sztuk plastycznych i dramatycznej, z których każda korzysta z szerszej autonomii. Zadaniem Towarzystwa jest zarówno szerzenie sił naszych artystycznych nad Nawa, ku pomocy wzajemnej moralnej i materialnej. Towarzystwo posiada (na wybrzeżu Fontanki nr. 83) własny lokal z obszerną salą, czytelnia, pracownią dla artystów malarzy i rzeźbiarzy, salą jadalną, oraz licznymi ubikacjami.

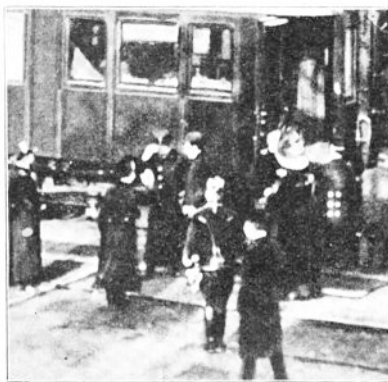
W najbliższym czasie Towarzystwo zamierza urządzić wystawę sztuki polskiej, oraz szereg koncertów, odczytów i przedstawień dramatycznych. W poniedziałki i piątki, począwszy od 5 listopada, odbywać się mają zgromadzenia towarzyskie, których nie zechcą pomijać pewni powitania serdecznego gości z kraju.

Do składu Zarządu weszli: *Wincenty Poklewski-Koziell* (prez.), *Bohdan Kutylowski*, *Erazm Dbuski*, *Wiktor Mazurowski*, *Stanisław Kłokocki*, *Henryk Lewestam*, *Bronisław Barylski*.

Austriacki następca tronu w Łańcucie.

Następca tronu austriackiego, arcyksiążę Franciszek Ferdynand, wraz z małżonką swą, księżną Hohenberg, przybyli w czwartek 7 listopada w odwiedziny do hr. Romanów Potockich w Łańcucie. Zdjęcie amatorskie, które podajemy, przedstawia chwilę przybycia pary arcyksiążęcej. Arcyksiążę salutuje witającego go starostę miejscowego. Obok arcyksięcia, zwrócony do niego, hr. Roman Potocki. W głębi, u stopni wagonu, księżna Hohenberg i hr. Romanowa Potocka.

(Zdjęcie amat. p. A. Najkowskiego.)



Arcyksiążę Fr. Ferdynand w Łańcucie.

NEKROLOGIA.

Ś. p. ks. Adam Englisz.

Zmarły d. 28 października w wieku lat 69 ś. p. ks. Adam Englisz, urodził się w 1858 r., święcenia kapłańskie otrzymał



w 1861 r. W ciągu półwiekowej działalności kapłańskiej zajmował stanowisko profesora, najpierw w seminarium metropolitalnym warszawskim, następnie od 1884 r. w Instytucie Maryjskim wychowania panien. Zmarły ś. p. ks. Englisz ukończył był Akademię duchowną ze stopniem magistra św. teologii, był zaszczycony przez władze duchowne godnością kanonika honorowego kolegiaty łowieckiej. Dotknięty chorobą, w zeszłym miesiącu prosił J. E. ks. arcypasterza o zwolnienie; otrzymał je i wkrótce dokonał cichego, w pracy kapłańskiej dobrze zasłużonego żywota.

Ś. p. ks. kan. Wład. Magnuski.

Ś. p. ks. kanonik Magnuski był jednym z najczynniejszych członków kapituły metropolitalnej Warszawskiej.



Urodzony w 1833 r., otrzymał święcenia kapłańskie w 1865. W 1886 zaliczony do grona kapituły metropolitalnej warszawskiej, a w r. 1889 został wizytatorem klasztorów. Gorliwa i użyteczna praca tego kapłana wraz z prawością i zacnością charakteru zjednała mu powszechną cześć i szacunek.

Ś. p. ks. Franciszek Ostrowski.

Dnia 15 października r. b. zmarł w Lublinie ks. kanonik Franciszek Ostrowski, dziekan powiatu Janowskiego, długoletni proboszcz parafii Janów Lubelski. Zmarły był wzorem kapłana, czczonego i kochanego przez parafian, zwłaszcza przez lud i ubogich, jako prawdziwy opiekun i dobroczyńca. Pelen pokory i dobroci głębokiej serca, nieskalanego charakteru, wielkiego miłosierdzia, słodczy i pogody ducha, był dla rzeszy prawdziwym bratem w Chrystusie, prawdziwym sługą Bożym. Miłość, jaką sobie powszechnie zjednał, była nagrodą i świadectwem jego cnotliwego życia, tudzież zasług prawdziwie nieposzednich, choć zgola nierozgłoszonych. Oceniając jego pracę pasterską, ks. biskup Jacewski powołał go do godności kanonika katedry lubelskiej.



Ś. p. Dr. Strawiński.

Zmarły dnia 21 listopada r. b. ś. p. dr. Strawiński był długoletnim i zasłużonym prezesem koła lekarzy polskich w Petersburgu.



Jakoginekolog, cieszył się wielkim rozgłosem w Petersburgu, jako człowiek, jednak serca prawością charakteru i dbałością o sprawę koła polskiego. Dowodem uznania były liczne tłumy i zastępy lekarzy polskich w Petersburgu, którzy na barkach wynieśli trumnę swego prezesa z katedry katolickiej. Zwiłki przewieziono na dworzec warszawski, skąd przewieziono je do majątku w gub. Kowieńskiej. Opróżnione stanowisko zmarłego prezesa

polecają: tekturę smołowcową z dodatkami, lak, smoly i wyroby korkowo-izolacyjne własnej fabrykacji.

WARSZAWA
Leszno 68.

dawniej F. Pietschman.

A. TAHN & Co.,

Koła Lekarzy Polskich zajmie prawdopodobnie dr. Ziemacki, znany chirurg, prezes obecny stowarzyszenia Sokołów polskich w Petersburgu.

Skandal polityczny.

Przed tygodniem w Senacie włoskim rozpoczęły się rozprawy sądowe przeciw eks-ministrowi Nasi i jego szefowi kancelarii, komendantowi Lombardo, oskarżonym o przedajność. Mimo że wina eks-ministra jest niemal jawna, jego sytyliści wyborcy nie przestają okazywać mu swej życzliwości i zaufania.

[Ex-minister Nasi.



Treść № 46 „Świata”

„Liebchen”. *Tadeusz Smarzewski.*
Malarstwo rosyjskie. (Z 3 ilustr.) *W. Mityrski.*
Król Andrzej. Powieść. *Kaz. Telnajewa.*
Instytut teologii żydowskiej. (Z 1 il.) *Clav.*
Ostatni utwór Wyspiańskiego. *A. Schiffman.*
Dyplomacja europejska wobec Polski. *Jan Krzyżda.*
Książki. *Tadeusz Rittner.*
W Warszawskiej szkole fotograficznej. (Z 5 ilustr.) *Demil.*
Zapomnianej poetce. (Z 1 il.) *J. Ł.*
Senior dziennikarzy polskich. (Z 1 il.) *J. Ł.*

Proces we Lwowie.

Kryłów-Zieliński, oskarżony o zamiar wykradzenia planów fortecy przemyskiej, którego proces prowadzi się we Lwowie.

Biblioman. *K. M. Górski.*
Wystawa Warsz. Szkoły Szt. P. w Wilnie. (Z 2 ilustr.) *W. B.*
Sukces ministra-polaaka. (Z 1 il.)
Szalejące finanse. (Z 1 ilustr.) *Sef.*
Konkursowa Wystawa w Moskwie.
Przed sezonem w Monte-Carlo. (Z 1 il.)
Zuzanna Aleksandrov.
Gruziński poeta-obywatel. (Z 1 ilustr.)
Dalszy ciąg skandalu. (Z 3 ilustr.) *a.*
Trzęsienie ziemi w Kalaabri. (Z 4 ilustr.) *ja.*
Przywódca KD-tów. (Z 1 ilustr.)
Oaza. (Z 6 ilustr.) *Demil.*
Wygodne polowanie. (Z 2 ilustr.)
Felieton Warszawski. *Redivivus.*
Jubileusz. (Z 1 ilustr.) *r.*
Medal na cześć prof. Jakubowskiego. (Z 2 il.)
Nowy kościół w Chardinie. (Z 2 il.) *Boł. S.*
Z teatrów warszawskich. *A. Br.*
Leon Rinskopf. (Z 1 ilustr.) *J. R-g.*
Ś. p. Józefa Mazurowska. (Z 1 ilustr.)
J. Hading w Warszawie. (Z 1 ilustr.) *S. K.*
Kolonia polska w Petersburgu.
Austriacki nast. tronu w Łancucie. (Z 1 il.)
Nekrologia. (Z 3 ilustr.)
Skandal polityczny. (Z 1 ilustr.)
Proces we Lwowie. (Z 1 ilustr.)

ODDZIELNE ILUSTRACJE.

Studyum. *T. Acentowicz.*
Prace polskiego rzeźbiarza na Wystawie Sztuki w Liverpoolu. (3 ilustr.)
Jak sobie Francuzi przed stu laty wyobrażali stolicę Polski.
Powrót b. biskupa.
Przesilenie w Kole polskiem w Wiedniu. (4 il.)

Wydawcy: Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.

Redaktor: Stefan Krzywoszewski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ulica Zyblikiewicza № 1.



GŁÓWNY SKŁAD ŻYRARDOWSKI



Krakowskie Przedmieście № 55, w Warszawie.

Poleca na sezony jesienny i zimowy:

FLANELE, BARCHANY, MATERIAŁY PUCHOWE, KOŁDRY, PLEDY, CHUSTKI, FIRANKI, PORTYERY, DYWANY.
WYROBY POŃCZOSZNICZE.

Fabryka Tabaczna

„NOBLESSE”

w Warszawie.

polca:

Papierosy i Tytonie.

LABORATORYUM DOKTORA

KARWACKIEGO

Warszawa, Nowojasna 6.

Wyrób kwaśnego mleka bułgarskiego, wyrób zaczynów suchych i płynnych. Skład główny zaczynów: Apteka K. WENDY
Krakowskie-Przedmieście 45. Warszawa
Prospekty i literatura wysyła się na żądanie.

„FORMADOL”

Lekarza Dentysty B. Mevé'go.
Nowy doskonały środek do odkażania jamy ustnej w postaci tabletek. Przyjemny, orzeźwiający przeciwnylny i nieszkodliwy.

Skład Główny w Laboratorium
B. Mevé'go

Warszawa, Nowy-Swiat № 36.
tel. 68-23.

Sprzedaż w aptekach i składach aptecznych.—Cena flakonu Rubla pół flakonu 50 kop. Na prowincję za zaliczeniem

Kupuję Brylanty złoto srebro kwity lombard

HENRYK JUWILER

Nowy-Swiat 59. 1-sze piętro front
Sprzedaje Biżuterję i srebra okazjynie
Kontentuję się małym zyskiem bo
w mieszkaniu. telef. 55.28.

Do nabycia we wszystkich księgarniach

BARONOWA STAFFE

Zwyczaże Towarzyskie

Cena w oprawie rb. 1 kop. 50

Przekład z francuskiego

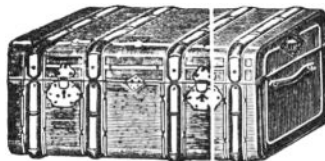
Wydanie drugie, przejrzał i opracował Mieczysław Rościszewski

Skład główny w księgarni

E. Wende i Sp.

Stanisław Krause i S-ka

dawniej T. L. Breymeyer



Fabryka i Magazyn wszelkich przyborów do podróży, Konnej jazdy i Polowania.

Warszawa, Królewska № 1

róg Krakowskiego-Przedmieścia.

Jedyna w kraju fabryka Kufrów trzcinowych.

DENTIPYRIN

C. Gierałtowskiego Prow. Farm.

Znakomity środek do czyszczenia zębów i płukania ust, odpowiadający wymaganiom Hygieny nadający białosć zębom i zabezpieczający je od psucia zbadany przez Dr. med. Nenckiego i Dr. med. J. Brunera.

Znakomity podręcznik P. Bert'a

„KURS ELEM. NAUK PRZYRODNICZYCH”

w przekładzie Anny Kratzer z 48 wyd. franc.

Tom I.—Rok pierwszy, dla dzieci od 7 do 10 lat, 50 kop. Tom II.—Rok drugi, dla dzieci od 10 do 12 lat 65 k. Tom III.—Rok trzeci, dla dzieci od 12 do 15 lat — w druku.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

**DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH
EKSTRAKT I KARMELKI**

LELIWA

w Warszawie, ul. Zielna № 21, Tel. 59-54.

SPRZEDAŻ W SKŁADACH APTECZNYCH I APTEKACH.

**FRYZYER
S. BRODZKI**

**Trebacka 2
tel. 197 - 16.**

pod zarządem znanego specjalisty Adolfa Brodzkiego. Salony damski i męski. Pierwszorzędni współpracownicy. Wielki wybór postiches i wyrobów z włosów. modele paryskie. Perfumerya. Kosmetyki. Przybory toaletowe. Ceny fabryczne.